

**Hart Josephine**

**Grzech**

## **PROLOG**

Można być pozbawionym dzieciństwa na wiele sposobów. Między innymi przez nadmiar szczęścia. Wiedza o tym - dar upływającego czasu - przychodzi powoli. Mówi się, że zasłonę skrywającą przyszłość utkał anioł miłosierdzia. Ale co czyni nas ślepymi na własną nieprzewidywalną przeszłość? Dlaczego przeszukujemy po omacku jej ruiny, gubiąc się w labiryncie uczynków i motywacji? My, którzy piszemy powieść życia wykorzystując okruchy cudzej egzystencji, każąc żywym i umarłym opowiadać naszą historię, składamy donos. Oto więc opowieść-donos - okruchy życia. Życia wielu osób. Głównie mojego. I jej.

## 1

Nigdy naprawdę jej nie znałam.  
Najbardziej zbliżył mnie do niej jej mąż, człowiek, z którym teraz  
jestem. A także syn - miał na imię Stephen.

I kłamstwa.

Byli tacy, nieliczni, do których łatwo było mi zwrócić się w po-  
szukiwaniu tajemnej wiedzy o niej. Byli inni, mniej ważni - ich  
życie śledziłam skrycie, w nadziei że jakiś ulotny promyk  
oświecili mi do niej drogę. Ilekroć traciłam ją z oczu, zanurzałam  
się w ciemne głębie własnej świadomości, by stamtąd  
wypatrywać białego, migotliwego światełka jej duszy. Kiedy  
kryła się przede mną, szukałam jej. Wiedziałam, że uciekając  
zyskuje przewagę. Cicha, subtelna, nieprzenikniona - a przecież  
wiedziałam, że potrafię ją zniszczyć.

Choć zraniła mnie do żywego, i ja zadałam bolesny cios. Nie, nie  
umiałabym zabić, ale starałam się uderzać jak najdotkliwiej.

Pięknym srebrnym młoteczkim odnaleźć czuły punkt, w który  
wystarczy stuknąć, by cała szklana konstrukcja rozpadła się w  
pył. Wtedy ją dostanę.

Czasem przypadek - ułamek sekundy, jedna zawieszona niespo-  
dziewanie decyzja - sprawia, że przeżywamy udrekę lub ekstazę.

Jednak to, że pojawiła się w moim życiu, nie było dziełem przypadku. Wyrokiem Losu czekała na mnie. W moim własnym domu. Była pierwszym, choć nie pierworodnym dzieckiem mojej matki. Straszna niesprawiedliwość. Nazywała się Elizabeth Ashbridge. Nawet tego jej zazdrościłam.

## 2

Coś trzepoce w moim pokoju. Czarne. Mamo, mamusiu! Coś czarnego w moim pokoju. Czarne. Ma skrzydła. Mamo, mamo. Gdzie jesteś, mamo? Oj mamo, proszę, przyjdź. Mamusiu! Proszę. Proszę. Zaraz usiądzie mi na twarzy. Potykając się idę w stronę drzwi. Nie mogę dosięgnąć kontaktu. Jestem za mała.

- Mamo, nie mogę... Mamo, mamusiu! Korytarz jest ciemny. Ciemność.

- Mamo, to idzie za mną. Mamo, mamo, gdzie jesteś? Kontakt musi być gdzieś przy schodach kuchennych. Sięgam ręką... staję na palcach. Nie mogę go wymacać. Chwytam poręcz i powoli, krok za krokiem schodzę w ciemność.

Wąsko tu. Wyciągając ręce mogę dotknąć ścian. Spocona twarz... piekące uda... małe kropelki strachu i wstydu.

Idę po omacku.

- Mamo, mamo! - wołam w stronę błogosławionej jasności.

-Mamusiu!

Płynie do mnie jej głos cicho wtórujący melodii z radia.

Nareszcie otwieram drzwi. Z ciemności w jasność.

Odwracają się w moją stronę. Są skąpani w świetle. Doskonała trójca. Moja matka ze szczotką do włosów w ręku siedzi za klęczącą Elizabeth. Jej złote loki opadają na opromienione blaskiem plecy. Ojciec nachyla się, niemal klęczy, trzymając w wyciągniętej ręce kubek kakao.

Prawdziwa idylla. Pełnia szczęścia, do którego nie zostałam dopuszczona. Matka podbiega do mnie. Kiedy bierze mnie w ramiona, słyszę okrzyk Elizabeth:

- Ruth, biedna Ruth. Ty płaczesz! Ojciec wstaje

- Ruth, kochanie. Drogie dziecko. Co się stało? Och, zeszałaś sama po ciemku kuchennymi schodami. Biedne dziecko.

Całują mnie. Głaszczą, ściskają. Starają się uspokoić. Dają mi kakao Elizabeth. Elizabeth całuje mnie. W nogi.

- Biedna, biedna Ruth - szepcze.

Znowu wybucham płaczem. Łzy nienawiści kapią na Elizabeth.

Na jej złote włosy. Zwraca ku mnie twarz. Pochylam się nad nią.

Ocieram policzek o twarz Elizabeth, łza spada jej do ust.

Czy to boli, Elizabeth? Powiedz, czy to boli?

Zanoszą mnie do łóżka głównymi, jasno oświetlonymi schodami.

Kiedy ojciec niesie mnie do sypialni, matka coś szczebiocze.

Staranne, nader staranne oględziny nic nie dają. Nic nie trzepoce.

Może obraz, który spadł z haczyka. Ojciec siada obok i głaszcze

mnie po głowie, matka nuci tę samą cichą melodię. Odpływam w sen.

Mój umysł przenika promienna wizja raj. Z ciemności patrzę na światło. Światło, w którym powinnam skąpać się ja sama.

3

Myślę teraz, że za wcześnie zetknęłam się z dobrem i nigdy już nie umiałam dojść do siebie.

Dusiłam się jak w rozrzedzonym powietrzu w morderczym uścisku jej dobroci, czując ciągle na plecach to nieznośnie szczere spojrzenie. Wspaniałomyślność Elizabeth zabijała wszelkie rodzące się we mnie zarodki dobra.

Zdawało mi się, że wkraczam do jej królestwa spowita w ciemność i gniew. Bo to było jej królestwo, dane z miłości i przez litość.

Została sierotą mając zaledwie dziewięć miesięcy. Była córką siostry mojej matki Astrid i Olivera Ord Ashbridge'a - pary kochanków, którzy zginęli w wypadku samochodowym.

Elizabeth zabrano do Lexington. Stare mury zamknęły ją w kamiennym sanktuarium, a słynne ogrody i jezioro dodawały piękna swobodzie, jaką mogła się cieszyć. Mieszkała więc w Lexington, kochana i pieszczona; córeczka moich rodziców.

Zawsze ta pierwsza.

A przecież to ja byłam ich jedyną córką. Prawem krwi. Prawem, którego mnie pozbawili.

Nie mogłam mieć do nikogo pretensji. Postąpili dobrze i słusznie.

Dali Elizabeth dom. Mój dom. Przypadła mi bolesna świadomość straty nie do odrobienia.

Pozostanę na zawsze, niesprawiedliwie, tą drugą. Nawet nie drugą, ale tą do pary - mniej cenną bez swego niezbędnego dopełnienia.

Ani matka, ani ojciec nie dostrzegali tego, jak odbieram ich po równi rozdzielaną miłość. Odgrywali sceny odciskające piętno na mojej duszy. Sceny miłości i łagodności. Nauczyłam się tego nienawidzić. Westchnień matki starannie splatającej długie blond warkoczki Elizabeth - trwało to dłużej niż energiczne rozczesanie moich krótkich czarnych loków. Mamo, jest sposób - chciałam zawołać. -Obetnijcie jej włosy. Wyrzućcie je. Spalcie.

Milczałam jednak. Nauczyłam się bowiem wtedy cierpliwości, nauczyłam się czekać cierpliwie w ukryciu.

Mam przed oczami dzień, kiedy wyprawiono Elizabeth do szkoły z internatem. Ona siedzi na łóżku i szlocha, ojciec klęczy.

Głaszcze ją po rękę próbując dodać otuchy i szepcze: Och, moje ty złotko. Mój ty złoty promyczku.

Przestańcie mi to przypominać, krzyczałam w duchu.

Przestańcie. Tato, nigdy nie klęczałeś przede mną. Nigdy nie klęczałeś! Tato, ona nie jest twoja. Ona nie jest twoja!

Ale oni nie przestawali.

Nadal widzę smutek, z jakim przez tydzień po jej odjeździe spoglądali na mnie, ilekroć naśladowałam drobne, podpatrzone u niej i budzące uznanie gesty. Słyszę, jak wzdychają: Och Ruth, dobrze wiem, że i ty, za nią tęsknisz. Wiem, kochanie.

Widzę matkę. Siedzi przed biurkiem dyrektorki prosząc ją, by umieściła nas w tym samym internacie - zwykle szkoła nie zgadzała się na takie rozwiązanie. - Chodzi o to, żeby one były razem. Żeby Ruth -ona jest tak bardzo związana z Elizabeth - nie czuła się samotna.



To było jak czary. Dwie córki, prawdziwe szczęście dla moich rodziców. Najpierw Elizabeth, potem Ruth.

Czary, które sprawiła właśnie ona. Kiedy byłam dzieckiem, zachęcano mnie, bym brała przykład ze słodkiej Elizabeth, naśladowała jej liczne wspaniałomyślne uczynki, dostrzegała dobroć. Latami, tłumiąc zazdrość, kroczyłam wytyczoną przez nią ścieżką. Jak Szatan przed Upadkiem nauczyłam się nienawidzić wszelkiego dobra i bać się jego potęgi.

Jednak w dzieciństwie zabrakło mi odwagi na bunt. Zeszłam więc do podziemia, szukając tajemnych recept na życie. I tajemnej broni przeciw Elizabeth.

Niekiedy, jak mi kazano, brałam z niej przykład. Robiłam to, co ona. Potem brałam... jej rzeczy. I chowałam. Dziecięce zabawki, coś na miarę wyobraźni dziecka. Jej kubek, ten z czerwonymi króliczkami. Ukochaną lalkę. Szmacianego pieska z żółtym pyszczkiem. Wstążki. Śmiałam się, kiedy ich szukała. I raz, kiedy płakała. Z powodu lalki.

Naśladowałam jej uśmiech. Rzadko. Raczej do mnie nie pasował. Później, w szkole, kiedy dorastałyśmy niepostrzeżenie, gromadziłam okazy do innej, też niewielkiej kolekcji. Bielizna. Spinki do włosów. Pończochy. Różne drobiazgi. Rzadko ich używałam, zawsze potajemnie.

W tamtych latach intensywnych odkryć czasem zaglądałam w głąb siebie i wzdychałam. Wnioski często odkładałam na potem, żeby później się z tym uporać.

I tak, powoli, wszystko się zaczęło. Może jest tak zawsze. Drobne kradzieże. Małe niegodziwości. Radość z cudzej krzywdy.

Niewinne okrucieństwa.

Co by było, gdybym pojawiła się przed nią? Gdybym się urodziła przed Elizabeth? Czy ona byłaby taka... taka jak ja? Gdyby pierworodnym był Set, trzeci syn po Kainie i Ablu? Co by się

stało, gdyby Pan przyjął jego dar? Czy ocknęłaby się kiedyś bestia drzemiąca w Kainie?

Sama wybrałam sobie obsesję. Nie miałam, żeby było jasne, wielkich planów. Bo nie byłam ambitna. Nie potrzebowałam niczych oklasków. Byłam jak natchniona. Natchniona złą wolą. Takich jak ja jest - nie mam żadnych wątpliwości - więcej.

4

Byłam raczej wybredna. Kochanków dobierałam, jak sądzę, inteligentnie i dość oryginalnie. Moje ofiary grały role, które im wyznaczyłam, ale nawet kiedy jak drapieżnik uderzałam na oślepa, robiłam to z klasą.

Jestem piękna. Stwierdzam po prostu fakt. Daje mi to, owszem, przewagę. Mam ciemne włosy, niemal nieskazitelną złotawą cerę i brązowe, głęboko osadzone, nieco skośne oczy. Brwi - przedmiot najczęstszych komentarzy - zamiast tworzyć łuk zdają się szyć ku górze. Mam długi, wąski, prosty nos i zmysłowe usta, czerwone nawet bez szminki. Ciemna karnacja nadaje moim regularnym rysom nieco egzotyczny wygląd. Ona jest *di Malta*, mawiała często mama, mając na myśli moją włoską babkę ze strony ojca. Jestem nieco wyższa niż przeciętna dziewczyna, niewiele tylko niższa od Elizabeth. Za to mam seksowne ciało. Byłam więc fizycznie dobrze wyposażona. Jednak dla późniejszych sukcesów najważniejsze okazało się moje niemal genialne wycucie tętniącego rytmu pożądania.

Jako młoda kobieta gromadziłam oczywiście inne rzeczy Elizabeth. Niewielka kolekcja. Jedwabna bielizna. Ozdoby do włosów,

dwie srebrne. Szminki. Buty, czarne szpilki. Jeszcze jakieś drobiazgi. Nadal używałam ich rzadko i zawsze potajemnie. Po ukończeniu anglistyki na uniwersytecie oksfordzkim zaczęłam pracować w małym wydawnictwie jako zastępca redaktora. Robiąc stałe postępy, ukrywałam swą zamożność ze starannością równą finezji, z jaką wykorzystywałam moją urodę. Jak wszystkie naprawdę piękne kobiety wybierałam najprostsze kreacje. Wiedziałam, że nie powinnam przesadnie eksponować i tak egzotycznej karnacji ani podkreślać strojem kształtów. Byłoby to po prostu wulgarne. Zniweczyłoby też efekt zaskoczenia - byłoby sprzeczne z regułą kamuflażu tak istotną dla skutecznego rozbrojenia ofiary.

W niewielkiej szafie trzymałam proste, eleganckie stroje - na lato wybierałam zwykle błękit i biel, zimą jasny beż (mój ulubiony kolor) i czerń wzbogaconą czasami akcentem czerwieni. Dodatki, kupowane w najdroższych sklepach, były zawsze najwyższej jakości. Jednak klasyczny fason i monotonna kolorystyka odwracały uwagę od tego, że na przykład moja torebka kosztowała miesięczną pensję.

W ten sposób potrafiłam rozproszyć obawy koleżanek. Koledzy z pracy, zrazu przyciągnięci aurą tajemniczości, szybko stwierdzali, że ich propozycje spotykają się z wymijającą reakcją, że coś im umyka, i w końcu wycofywali się zbici z tropu, nie doznając jednak ujmy na honorze.

Znajomi nie mieli pojęcia - pomysł dopiero mi się rysował - że myślę o założeniu niewielkiego działu wydawniczego w ramach imperium prasowego mojego ojca. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć.

W Londynie w dni powszednie zajmowałam eleganckie mieszkanie na tyłach Harrodsa. Było to podyktowane ostrożnością. Chociaż nie ulegało wątpliwości, że nie żyję tylko z

pensji, unikałam wszelkiej ostentacji świadczącej o mojej rzeczywistej pozycji materialnej. Mając taką bazę wypadową mogłam prowadzić życie towarzyskie dzięki starannym manipulacjom zazębiające się z kręgiem znajomych Elizabeth. Byłam pewna, że panuję nad sytuacją.

Elizabeth nie była piękna, raczej atrakcyjna. Jej dziecinny wdzięk - złote loki, subtelne rysy - przeminął, ustępując miejsca blademu powabowi, którego nie próbowała uatrakcyjnić w jakikolwiek sposób.

Wrażenie robił odziedziczony po ojcu Oliverze wzrost. Miała długie ręce i nogi, była szczupła, a surowy strój jakby uwydatniał mocne, nieco męskie ramiona.

Jeśli ja doбираłam starannie stroje z myślą o tylko mnie znanym celu, jej sposób ubierania się zdradzał chyba zamiłowanie do porządku, niesłychanej, niemal kłującej w oczy czystości. Nosiła białe, bawełniane i jedwabne bluzki, do tego dzinsy lub szyte na miarę spodnie. Wieczorem wkładała aksamitny albo jedwabny zakiet i długą jedwabną spódnicę niczym sarong owijającą jej szczupłą talię. W dzień spinała włosy z tyłu kłamrą. Wieczorem zwijała je w prosty kok. Ten styl utrzymywała niezmiennie przez lata, zastępując jedynie stare rzeczy niemal identycznymi nowymi.

Ukończywszy ze średnim powodzeniem Akademię Sztuk Pięknych przeniosła się do ogromnej pracowni w Kensington, gdzie zajęła się malowaniem. Miała obsesję na punkcie nieba.

Tworzyła w niemodnym stylu, rzadko wystawiała - moim zdaniem była zupełnie pozbawiona talentu.

Miała niewielu przyjaciół, głównie z kręgów artystycznych. Jednak zachowała z czasów szkolnych ściśle związki z rodziną Baathusów, szacownych, międzynarodowych bankierów. Maria Baathus gościła ją regularnie w Paryżu i w rodzinnym *château* nad Loarą. Elizabeth przyjmowała zaproszenia z niemal dziecinną radością. W rewanżu od czasu do czasu zapraszała Marię Baathus do Lexington, a ona bardzo ceniła te wizyty - najwyraźniej lubiła Lexington i piękne jezioro - za to, że, jak kiedyś powiedziała, jest takie „tajemnicze”.

Lexington jawi się z oddali jako ukryte, tajemnicze miejsce. Prowadzi do niego kręta, biegnąca zakosami wśród lasów droga. Potem nagle drzewa rozstępują się i zaskoczonym oczom ukazują się królujące na wzgórzu mury w kolorze wyblakłej czerwieni.

Długi, szeroki, ocieniony kępami drzew trawiasty park opada łagodnym stokiem ku rzucającej świetlne refleksy tafli jeziora. Dom i jezioro, przechowujące tyle naszych nagromadzonych z latami wspomnień, nabył dziadek, kiedy odniósł swój pierwszy duży sukces w interesach. Była to, jak powiedział, „decydująca partia szachów”

Kupił niewielkie wydawnictwo publikujące solidne, choć niezbyt dochodowe czasopisma. Przeniósł firmę z wielkiego, zabytkowego budynku w centrum Londynu, uwalniając w ten sposób, zgodnie z pierwotnym planem ukryty kapitał. Mając pokaźną sumę pochodzącą ze sprzedaży domu w ciągu trzech lat zlikwidował sześć tygodników, pozostałym zagwarantował wiodącą pozycję na rynku i skutecznie wypromował dwa inne. Stworzył imperium prasowe - wydawnictwo Alpha. Nazwał je tak, ponieważ moja babka miała na imię Alexa, a ich dwie córki nazywały się Astrid i Aileen. „Same Alfy”, to był taki jego niewinny żart.

Po jego śmierci babka - z żalu albo radości - kazała odświeżyć poszarzałe czerwone mury Lexington. Dziadek i ojciec wracali z Londynu na weekend, by oddawać się męskim rozrywkom - chodzili na ryby, polowali, grali w karty. Weekendy w Lexington przepajała woń mężczyzn - ich głośny śmiech, kiedy byłam dzieckiem, przejmował mnie do głębi. Nawet koloryt Lexington zdawał się zmieniać - czerwień wyrażała odwagę i sukces. W kobiece dni powszednie miałam wrażenie, że widzę kolor krwi i zakrzepłe gdzieś grudki czerni.

5

Ngdy nie interesowali mnie przystojni mężczyźni. Nie dlatego że są, jak sędzę, z natury próżni, ani, jak się często mówi, niezdolni do głębszych uczuć. Nie. Wiem, że natura nie jest aż tak szczodra - dając urodę, niemal na pewno nie czuje się w obowiązku obdzielić równie hojnie innymi przymiotami.

Pewnego letniego dnia, kiedy Elizabeth dobiegała trzydziestki, do Lexington zawitał Hubert Baathus, powód jej coraz częstszych wyjazdów do Francji.

Szedł trawnikiem, pewnym krokiem zmierzając w stronę ogrodowego krzesła, na którym siedziałam. Miły uśmiech i gra światła i cieni na jego twarzy sprawiały, że wyglądał jak naprawdę przystojny mężczyzna.

To prawda, że podjęta ułamek sekundy po jego pojawieniu się decyzja uwiedzenia kochanka Elizabeth nie była zbyt oryginalna. Jednak banalność tego kroku nie łagodziła, nie mogła w żaden sposób złagodzić bólu mojej siostry.

Posłałam mu promienny uśmiech i podałam rękę. Zgiął się w nienagannym ukłonie i ucałował ją unikając - dżentelmen w każdym calu - dotyku.



- Elizabeth mówi o pani z takim zachwytem. Od dawna chciałem panią poznać.

- Jest pan zbyt uprzejmy - odparłam.

- Zbyt uprzejmy? Czy można być zbyt uprzejmym?

- Pan to traktuje zbyt dosłownie, Hubercie - odezwała się Helen, moja zaproszona na weekend zbyt inteligentna znajoma. - My w Anglii mówimy czasem: „pan jest zbyt uprzejmy”, mając na myśli coś zupełnie innego.

Hubert spojrział na mnie z niejakim zakłopotaniem.

- Jestem pewien, że dobrze zrozumiałem Ruth. Mówię trochę niezręcznie. Mój angielski... jest taki sztywny.

- Nie - powiedziałam - pański angielski jest czarujący.

- Ach tak. Czarujący. Teraz rozumiem, co Anglicy mają na myśli, kiedy mówią „czarujący”. Rozumiem ten „niuans”.

Roześmiał się. Na widok jego małego triumfu Elizabeth uśmiechnęła się łagodnie.

- Być może Hubert zamieszka w Londynie na trzy lub cztery lata.

- Naprawdę? Dlaczego? - spytałam.

- Otworzyliśmy londyński oddział banku. Zanim wrócę do Paryża, zostanę na jakiś czas, żeby dopilnować interesów.

- Czy polubi pan życie w Anglii?

- O tak. Jestem pewien. - Rzucił Elizabeth pełne miłości spojrzenie.

- Mieszkał pan kiedyś w Londynie? - spytałam.

- Mieszkać nie mieszkałem. Ale często tu przyjeżdżałem. Kocham Londyn. Zwłaszcza teatr... jest najlepszy na świecie.

Wygląda na to, że pani pochlebiam?

- My uwielbiamy pochlebstwa.

Helen także się uśmiechała. Wdzięk Huberta sprawił, że postanowiła chwilowo zrezygnować z ciętych uwag.

Elizabeth była jak w transie. Dlaczego on się nią interesuje? Może pożąda jej duszy? Jakże potężne to narzędzie, jeśli spojrzeć na nie na tyle wnikliwie, by docenić jego wartość. Jak serio traktowali się nawzajem? Elizabeth? Bardzo serio. Hubert?  
- Ruth...

Zaskoczona spojrzałam na matkę.

- Ruth, moja droga, wyglądasz na zamyśloną. Chodźmy na taras, podano lunch.

Obserwowałam ich, jak idą w stronę domu. Hubert objął wpół Elizabeth, ona wpatrywała się w niego, jakby chciała oświetlić mu wzrokiem drogę. Nawet w taki letni słoneczny dzień. Poszłam za nimi. Mój cień padł na ich sylwetki. Zatrzymali się i odwrócili z uśmiechem na ustach. Stałam obok Huberta.

- Mam nadzieję, że podczas pobytu w Anglii będzie pan spędzał weekendy w Lexington.

- Hubert zaczyna pracę w przyszłym miesiącu - powiedziała Elizabeth.

- Kupił pan sobie mieszkanie w Londynie?

- Nie. Firma ma apartament dla gości. W Mayfair. Zatrzymam się tam, przynajmniej na najbliższy czas.

Doszliśmy do domu. Lunch podawano na tarasie. Biały obrus -obsesja mojej matki, jej komoda kryła całe stosy śnieżnobiałej bielizny - opadał fałdami na szarą kamienną posadzkę.

Obserwowałam Huberta. Jadł powściągliwie, niemniej z prawdziwym apetytem. Ciekawy kontrast. Elizabeth uśmiechnęła się z wyraźną przyjemnością, kiedy pochwalił ojca za wybór wina - pił sporo, ale nie nadmiernie. Nie przekraczając granic przyzwoitości, pomyślałam.

Elizabeth bawiła się widelcem, piła symbolicznie. Ona nigdy nie zbliża się do granicy. Na przykład w jej obrazach nie ma napięcia, żadnych emocji. Hubert, jakby czytając w moich myślach, powiedział:

- Podziwiam obrazy Elizabeth. Ona służy pięknu, jak każe francuska tradycja. My nie zachwycamy się... brzydotą... tylko dlatego że jest szokująca. Pani rozumie, co mam na myśli? - Spojrzał na mnie.

- Tak, oczywiście - chciałam, żeby zabrzmiało to dyplomatycznie. - Ale wielkie dzieła zawsze szokowały, *n'est-ce pas?*

- Owszem. Ale Elizabeth nigdy nie twierdzi, że jest wielką artystką. Jednak ma dobre oko. Kiedyś was wszystkich zaskoczy. Mam wrażenie, że...

- Hubercie, proszę - Elizabeth zarumieniła się. - To naprawdę bardzo proste. Malowanie jest jedynym, co potrafię, choć i w tym nie jestem za dobra. Ale sprawia mi prawdziwą radość i każdy mały sukces powoduje, że chcę, by trwał ten...

- Urok - podpowiedział Hubert.

- Tak, właśnie - westchnęła Helen. - Jesteście oboje uroczą parą. Bóg mi świadkiem, niewiele jest takich jak wy.

- Ruth, gdzie podziewa się Dominik? - spytała matka. Dominik, kiedy nie prosił mnie o rękę, bywał przydatnym towarzyszem weekendów w Lexington.

- W Ameryce, mamó. Ma cykl wykładów w Berkeley.

Przedmiot, którego nauczał - matematyka - uniemożliwiał jakiegokolwiek rozmowy na tematy zawodowe. Strach było go o cokolwiek zapytać - mógłby zacząć tłumaczyć. Czytał chciwie współczesne powieści. Większości nie znosił. „Mam o czym porozmawiać” - często żartował.

Nie brakowało mu zalet. Jednak jeżeli o mnie chodzi, źle trafił. Kiedyś będę musiała mu pokazać, jak się z tego wykaraskać. Miałam nadzieję, że odejdzie z klasą.

6

-Ruth.

- Tak, Elizabeth.

- Ruth, nie zasługuję na to. Odwzajemniłam jej uśmiech.

- Nie zasługuję na takie szczęście. Od chwili kiedy go pierwszy raz zobaczyłam...

- Jestem pewna, że on czuje to samo. Jak Dante i Beatrycze:

„Choć ujrzałem ją w przelocie, nigdy kochać nie przestanę.”

- Ruth, ty zawsze potrafisz znaleźć właściwe słowa. Zawsze. Masz talent do tego.

Jej obraz uchwycony w wysokim owalnym lustrze zdawał się świecić własnym blaskiem - jak panna młoda z bajki, nierealna.

Jakby odbicie było prawdziwsze od rzeczywistości i wreszcie tylko ono istniało naprawdę. Kiedy stanęłam za nią, intensywny róż mojej sukni zbladł na tle spowijającej Elizabeth bieli.

Odwróciła się gwałtownie. Przez moment stałyśmy twarzą w twarz. Panna młoda i drużna. Ucałowała mnie. Nie poruszyłam się. Jakie uczucia mogłam zdradzić? Czując ciągle na policzku dotyk jej chłodnych warg wyszłam za nią z pokoju do hallu, gdzie czekała matka.

- Elizabeth! Wyglądasz tak pięknie.

- Mamo - objęła ją.

Mamo. Nieprawda! A potem ojciec, też nieprawda. Jego kolej, by okazać zachwyty. Prywatne święto Elizabeth. Przez tłum gości ruszyliśmy pewnym krokiem w stronę kościoła, gdzie czekał Hubert.

Rytuał małżeństwa jest naprawdę czymś świętym. Patrzyłam na Huberta. W jego klasycznych rysach było coś ponadczasowego... każda dorastająca dziewczyna znajdując w kufrze albo na półce jego fotografię zachłyśnie się z podziwu - że też mężczyźni potrafią być tacy piękni. Kiedy patrzył na Elizabeth, na jego

twarży malowała się miłość i oddanie. Nie czułam bólu. Oni są tak... szukałam odpowiedniego słowa... tak bez pamięci zakochani. To mi wystarczyło. Doskonałość ich uczucia była dla mnie jak wyzwanie. Po co psuć coś, co nie jest doskonałe? Jedna rysa pozbawia wartości filiżankę z epoki Ming. Jedno kłamstwo niszczy prawdę. Pierwsza zdrada rozbija związek, potem jest już tylko dalszy ciąg.

Oczywiście, zawsze potem jest tylko dalszy ciąg. Kiedy ideał zostanie raz splugawiony, trudno już odmówić sobie przyjemności, jaką daje destrukcja, kłamstwo, trudno odmówić przyjemności zmysłom. Bo wtedy nie ma już za co się poświęcać. Stałam więc - róż koło bieli - badając palcem kolce kwiatów mojej wiązanki.

Ruszyłam za nimi przez nawę, sama. Ta trzecia. Spowita jedwabnym woalem. Z postępującym za nami orszakiem panien w różowych sukniach wyszliśmy prosto w złocisty blask letniego popołudnia - jakby nieco drażniące tło dla marmurowej bieli nowo poślubionej pary.

Lexington zdawało się tańczyć jak pijane w rytm ich śmiechu, odpowiadając na każdy wybuch radości. Stoły na dziedzińcu ustawiono tak, by naśladowały kształt zabudowań. Na wprost głównego gmachu stał ten środkowy, przeznaczony dla głównych postaci dramatu. Dwa po bokach odpowiadały wschodniemu i zachodniemu skrzydłu królewskiego pałacu ze snu wyśnionego przez Alexę dla córek. Po lunchu i przemówieniach goście rozeszli się po ogrodzie. Niektórzy szukali bardziej intymnych miejsc nad brzegiem odległego jeziora.

- Idealna para - zwróciła się do mnie Charlotte Baathus, bliźniacza siostra Huberta.

- Tak, rzeczywiście, idealna.

- To stało się tak nagle - powiedziała.

- No właśnie.

- Muszę przyznać, że byłam trochę... zaskoczona. Nawet zgorszona. Maria bardzo się tym przejęła. Ona zawsze uwielbiała Elizabeth.

- Zgorszona? Dlaczego?

- Bo przecież - odparła Charlotte - oni postanowili pobrać się miesiąc po tym, jak Hubert pojawił się w Londynie. I tak od razu ślub.

- Elizabeth chciała wziąć ślub latem. Nie miało sensu czekać do następnego roku - wyjaśniłam.

Nie spodobała mi się Charlotte Baathus. O ile Hubert był przystojny, ona miała dość pospolitą urodę - jasne, niebieskie oczy, różowe usteczka. Mówiła jakby z zadyszka, przyciszonym głosem, prawie bez obcego akcentu.

- Charlotte - powiedziałam. - Wcale mnie nie zdziwiło to, że tak szybko ogłosili zaręczyny. Oni są tak - słowo pojawiło się znów - bez pamięci zakochani.

- To prawda - zgodziła się.

Dostrzegłam, że nie jest specjalnie zachwycona.

Doświadczonemu obserwatorowi - jak ja - najmniejsze ściągnięcie ust może zdradzić ukryte złe myśli.

Szybko pocałowałam Charlotte. Jak się spodziewałam, ten gest, tuż po moim małym zwycięstwie, zbił ją z tropu. Z przyjemnością odczułam lekkie drżenie ramion niezdolnej do ucieczki ofiary, kiedy objęłam ją szykując się do złożenia drapieżnego pocałunku.

Odeszłam i znalazłam inną grupę radosnych świadków szczęścia młodej pary. Potwierdziłam jak najszczerzej wszystkie przesadne opinie na temat jej urody. Wysłuchałam pozornie szczerych zapewnień kilku przyjaciół Elizabeth o tym, ile im okazała życzliwości. Myślałam cały czas o nagłej decyzji ślubu, która

sprawiła, że moje plany stały się bardziej interesujące, bardziej niebezpieczne i o wiele trudniejsze.

Z miłym uśmiechem zbliżyłam się do pełnego nadziei Dominika.

I jeszcze raz stwierdziłam ze zdumieniem, że ludzkie serce i dusza kryją tyle tajemnic. Ta bariera jest dla nas dobrodziejstwem. Któż zdołałby przeżyć zetknięcie z duszą drugiego człowieka?

Nikt, nikt na świecie nie poznał moich myśli. Może Bóg?

-pomyślałam leniwie. A jeśli nawet, czy Jemu na tym zależy?



Zakochany matematyk nie zanudza swojej sympatii naukowymi regułami określającymi prawdopodobieństwo ich związku. Zwłaszcza matematyk, którego uczucie nie spotkało się ze wzajemnością.

Nie jest jednak wykluczone, że reguły takie mimo wszystko istnieją. Czy miłość rośnie bądź maleje wprost proporcjonalnie do tego, z jaką spotyka się reakcją? Kto nie uwierzy, że dając coraz więcej dowodów uczucia, spotka się z bardziej przyjaznym przyjęciem? „Jeśli jedno serce kocha - powiada przysłowie - pokocha i drugie. Do zgody trzeba dwojga.” Jakże przekonujące. I jak nieprawdziwe. Po co zastawiać pułapki na tych, którzy zostali schwytani? Ptak jest wolny, jeśli może odlecieć.

Takie myśli snuły mi się po głowie, kiedy spacerowałam z Dominikiem po zakończeniu ceremonii. Maskowałam je odpowiadając łagodnym uśmiechem na jego zapewnienia i oczekiwania. Dominik bowiem nauczył się czekać.

Był to uroczy, pogodny dzień, a my znaleźliśmy się w ustronnym miejscu na drugim brzegu jeziora. Nadzieje Dominika na uwiedzenie mnie spełniły się więc. Wreszcie dopiął swego. To była moja decyzja. To ja wyraziłam zgodę. Ja mu pozwoliłam.

Dystans - w przypadku Dominika to było najważniejsze. Rozumiałam to, on nie bardzo. Spod półprzymkniętych powiek śledziłam rozpad jego osobowości. A kiedy już było po wszystkim, kiedy jego ciało wracało do życia, śniłam o Elizabeth i Hubercie. Jak spółkują złączeni świętym węzłem małżeńskim. I tym razem nie czułam bólu. Dominik szeptał, jak zwykle, coś o ślubie. Westchnęłam z irytacją, porzucając marzenia. Zasiałam w jego sercu zwątpienie, a potem jego okrutną siostrę: nadzieję. Nie odrzuciłam go. Rozmyślnie położyłam głowę na kępie stokrotek miażdżąc je. Nie czułam winy. W końcu przyroda nigdy nie odwzajemnia naszych uczuć.

Wróciliśmy do Lexington, skąd wyszli już ostatni goście. Kłamaczucha i jej przystojny facet o inteligentnej twarzy z nieustannie wpadającymi do szklanki jasnoblond włosami. Nie robiło na mnie wrażenia jego smukłe ciało ani zgrabna figura.

Usiedliśmy przy stole z matką i ojcem. Jedliśmy smażone rybki. Potem kurczaka na zimno w sosie cytrynowym, udekorowanego czarnymi oliwkami ułożonymi w kształt serca. Podczas kolacji zamknięte jak paszcze węży kielichy stojących na stole lilii otworzyły się łagodnie. Drapieżnik przemieniony w ofiarę.

Piłam czerwone wino zastanawiając się, co robią Elizabeth i Hubert. Teraz. Właśnie teraz. Błądziłam w wyobraźni po jej tak dobrze znanym mi ciele. Próbowałam spojrzeć na nie oczami Huberta. I myślałam o tym, co lubimy robić w odosobnieniu, w ustronnych, pokojach, w ciemności. Tak, by nikt nie zobaczył, jak mężczyzna i kobieta łączą się w jedno w jedyny na świecie sposób. Mężczyzna podążający na oślep tą samą drogą, którą odbył kiedyś przychodząc na świat, równie ślepy, w przeciwnym kierunku. Wierząc że daje rozkosz tym miejscom, które poznały ból. Jednak daremne są jego starania. Słodczy bowiem rodzi

znów ból i krew, kiedy głowa przeciska się przez wąski kanał. I znowu to samo. A Bóg nigdy nie prosi nas o przebaczenie. Czerwone wino przyprawiało mnie o mdłości. Idiotycznie zgorziona pomyślałam o Elizabeth w ciąży. O porodzie. O macierzyństwie.

- Będą bardzo szczęśliwi - powiedział ojciec.

- Czy to rozkaz? - spytałam.

- Ruth, kochanie. Po prostu tak to oceniam.

- A na jakiej podstawie, drogi ojczy?

- Takiej, że wiem, jakim głupcem musiałby być mężczyzna, który nie byłby szczęśliwy z Elizabeth.

- Ach, rozumiem. Ona ma jakąś nikomu nie znaną receptę, prawda? Kiedy wróci z Grecji, może opowie o niej Dominikowi, a on stworzy matematyczną formułę szczęścia i będzie sławny. Wzór Dominika Gartona na szczęście w małżeństwie oparty na modelu Ashbridge-Baathus. Odkryty na wyspach greckich, gdzie młoda para spędziła miodowy miesiąc.

Zanim ojciec zdołał wyrazić dezaprobatę, ucałowałam go mówiąc:

- To był tylko żart. Tato, żartowałam. Będzie im oczywiście cudownie ze sobą. Poza tym masz rację. Jaki mężczyzna mógłby nie kochać Elizabeth?

Ojciec i matka wymienili z ulgą niepewne uśmiechy.

- I jaki mężczyzna nie byłby szczęśliwy z tobą, Ruth? - Dominik posłał mi całusa.

- Och, Dominiku. Mój jedyny wielbicielu. Nie uważam, żebym była stworzona do szczęścia. To jest dla mnie niemal obce pojęcie.

- Nonsens, Ruth. Oczywiście nonsens - stwierdził ojciec.

- Nonsens? Może dla ciebie, ojczy. Ale nie dla mnie.

- Jak dotąd miałaś cudowne, szczęśliwe życie. Nie lekceważ tego aż tak bardzo. Spójrz na fakty.

Często prowadziliśmy z ojcem takie półzartobliwe spory. To była nasza metoda utrzymania dystansu. Obowiązywał w niej specyficzny styl i reguły pozwalające osiągnąć zasadniczy cel - brak komunikacji. Najważniejsza rzecz w stosunkach między ojcem i dorosłym dzieckiem. Doświadczenie prawnicze kazało mu, oczywiście, wierzyć, że taka technika pytań i odpowiedzi prowadzi do prawdy. Ciągle zapominał, że ja nie zeznaję pod przysięgą.

- Wracam na noc do domu - powiedział Dominik wstając. - Mam z samego rana wykład.

- Elizabeth wspomniała w zeszłym tygodniu, że nie zamierza pozbyć się pracowni - odezwała się matka.

- Tak. Chce nadal malować, a mieszkanie Huberta jest za małe - potwierdził Dominik.

Mieszkanie Dominika mieściło się w tym samym domu, co pracownia Elizabeth. Matematyk zajmujący pracownię artysty.

Awanso-

wało go to, jak sądził, do grona cyganerii będącej przedmiotem jego aspiracji. Był chodzącą inteligencją skojarzoną z niewłaściwym temperamentem. Ale jako cudowne dziecko, którego błyskotliwe zdolności zostały natychmiast zauważone i docenione przez szkoły i uniwersytety, nie miał właściwie szans. Później do tego stopnia przytłoczyły go akademickie sukcesy, że musiał skapitulować przed własnym talentem. Niemal tak samo, jak musiał stać się Anglikiem.

Jego rodzice byli Amerykanami. Ojciec był, podobnie jak Dominik, znanym matematykiem. Matka, po latach pracy w Massachusetts Institute of Technology, została starszym konsultantem u McKinseya.

Po starannie zaplanowanej przeprowadzce do Londynu - ojciec dostał posadę w London School of Economics, matka w miejscowym biurze macierzystej firmy - Dominik uczęszczał do Westminster School. Wtedy to zakochał się w Anglii. I we wszystkim, co angielskie. Wierzył, że jego uczucia są odwzajemniane - jakże znajoma ślepotą Dominika.

Po powrocie rodziców do Ameryki zamiast Harvardu wybrał studia w Trinity College w Cambridge. Tam zaczął rozumieć to, co na poły tylko pojmował w czasach westminsterskich - że śmiertelna powaga, z jaką traktuje swoją pracę, musi zostać złagodzona szczyptą ironii. I że w kulturalnym angielskim towarzystwie rzadko rozmawia się o naukach ścisłych. Znacznie bardziej ceni się przelotny flirt ze sztuką.

Poznaliśmy się przed paroma laty na niewielkim przyjęciu u Elizabeth. Ponieważ wizyty u niego zapowiadały znakomite widoki na przyszłość, podsycalam jego zainteresowanie moją osobą. Plan uwiedzenia Dominika obmyśliłam i zrealizowałam na tyle subtelnie -zarówno pod względem strategii, jak taktyki - że w kulminacyjnym momencie to jego twarz wyrażała triumf. Jedyną

komplikacją w tym skądinąd doskonałym scenariuszu była rosnąca natarczywość Dominika darzącego mnie coraz głębszym uczuciem.

Przed nim byli oczywiście i inni. Jeden z pierwszych chłopców Elizabeth - meksykański malarz, z którym zerwała (dowiedziałam się o tym zbyt późno, ku mojemu rozczarowaniu). Potem był całkiem niefortunny związek z pewnym arystokratą, którego pociągała myśl o karierze artystycznej. Ten, nazwijmy to, romans zaowocował nieoczekiwanym weekendem w Paryżu. Mój towarzysz odsłonił oblicze, które, mam wrażenie, ukrywał starannie przed Elizabeth. Dwa ciekawe i pouczające dni. Syn sąsiada z Lexington okazał się znacznie mniej interesującą zdobyczą. Miał takie wyrzuty sumienia z powodu zdrady Elizabeth, że było to niemal zabawne.

Popatrzyłam na Dominika. Oddany kochanek Ruth, a nie Elizabeth. Decyzja zatrzymania pracowni zaskoczyła mnie. Elizabeth nie mówiła mi o tym, może uważała, że to bez znaczenia. Westchnęłam. Wydawało się, że przynajmniej w najbliższej przyszłości Dominik i nasz związek przetrwają.

A więc, wy dwoje... para.

Hubert uśmiechnął się. On i Elizabeth, Dominik i ja jedliśmy na ich cześć kolację w restauracji w pobliżu ich domu. Elizabeth nie umiała gotować.

Opalona na brąz, z ufarbowanymi na blond włosami, w kremowej jedwabnej bluzce i ciemnobrązowej spódnicy, mówiła o Grecji. Każde słowo przepojone było miłością. Jej ładne oczy, będące przecież oczami malarki, widziały kolory i byłam pewna, że wkroczyła w swój grecki okres. A więc promienny seledyn i boska biel przełamana różem kaskady kwiatnych płatków. Albo, dla dramatycznego kontrastu, czerń stroju greckiego wieśniaka przemierzającego płótno.

- A więc, madame i monsieur Hubert Baathus, świeżo poślubieni... szczęśliwi małżonkowie... czy zdradzicie nam definicję małżeńskiego szczęścia? - Dominik zawsze poszukiwał definicji.

- Nie ma czegoś takiego - powiedział Hubert. Elizabeth wyglądała na zgorzowaną.

- Nie ma szczęścia, które istniałoby tylko w małżeństwie.

Szczęście to bycie z kimś. I bycie dla kogoś tym jedynym lub tą jedyną.

- W małżeństwie lub poza nim?

- Tak. Chociaż łatwość, wygoda i przyjemności wynikające z formalnego związku to wspaniała rzecz. I mądra. A więc małżeństwo to mądre szczęście. Czyż nie?

- Twój angielski poprawia się z każdą chwilą.

- Dzięki, Ruth - uśmiechnął się do mnie.

- Jego angielski jest nieco sztuczny, kiedy rozmawia z kimś po raz pierwszy. Hubert jest nieśmiały - dodała Elizabeth.

- Nieśmiały?... Tylko trochę - odpowiedziałam.

- Mądre szczęście. To mi się naprawdę podoba. Macie przed sobą, mam nadzieję, całe lata mądrego szczęścia - Dominik uniósł kieliszek. - Za mądre szczęście, szczęście Elizabeth i Huberta.

Wróciliśmy na kawę do mieszkania Huberta, obecnie ich wspólnego. Typowo męski wystrój - ciężkie ciemne meble, szkockie zasłony, skórzane sofy - konwencjonalnie, lecz elegancko.

Atrakcyjny dom atrakcyjnego mężczyzny. Patrzył na mnie, kiedy oglądałam ich kącik.

- Za parę lat przeniesiemy się do Paryża. Nie miało sensu brać się do urządzania nowego domu.

- Czy to postanowione? - spytał Dominik. Próbowałam oswoić się z myślą o rozstaniu.

- O tak - odparł Hubert.

- I będę dalej korzystała z mojej pracowni, dopóki nie wyjedziemy do Paryża - dodała Elizabeth. - Hubert zapewnia, że tam będę miała pracownię na szczycie naszego domu.

Wyobrażałam sobie nowy okres paryski - domy pokryte szarą dachówką. Jaki wybierzecie stereotypowy *imadél* Czułam, że mądre szczęście okaże się czymś bardzo nudnym. Ale gdybym była nią, co odnalazłabym u boku Huberta? Gdybym była Elizabeth...

- No dobrze, teraz zostawimy was samych. Cieszę się znowu widząc was razem. W takiej harmonii. Zawsze próbuję dostrzec matematyczną harmonię... jej piękno zadziwiłoby was. Wiecie, Grecy wierzyli, że na tym polega istota boskości.

- Ależ Dominiku. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś mówił tak romantycznie o swojej pracy.

- To prawda, Ruth. Może bałam się kpin. - Nie powiedział czyich.

- Miłość to cud. To jakby widzieć kogoś... otoczonego światłem.



Jak na moich obrazach, moich niemodnych, wypełnionych światłem obrazach. Miłość jest dla oczu niczym dodatkowy wymiar. Pozwala widzieć blask tych, których kochamy, nikt inny wydaje się tego blasku nie mieć. I tylko ten, kto kocha, może to zobaczyć. Tak... tak ja widzę Huberta.

Elizabeth odwróciła głowę zakończywszy swoje osobliwe, krótkie i nie pasujące do niej przemówienie. Na jej szczupłej, subtelnej twarzy pojawił się wyraz przerażającej zawziętości. Czy zaskoczona zdradziłam się z nienawiścią? Czy Elizabeth szukała ratunku?

- Przedtem byłem trochę zepsuty i samolubny. Elizabeth sprawiła, że stałem się lepszy.

Hubert, przystojny, szczęśliwy i jakże skromny.

- A jakie są zewnętrzne oznaki tej przemiany? - Staralam się, by zabrzmiało to ironicznie.

- Nie ma żadnych zewnętrznych oznak, Ruth. Ale ja się zmieniłem. Na przykład rzadziej ironizuję.

Zostałam więc przywołana do porządku.

- Hubercie, twój angielski bez wątpienia poprawił się. Nie masz już kłopotów z niuansami.

Roześmiał się.

- Och Ruth, ty też staniesz się kiedyś łagodniejsza.

- Dominik skrzywił się na myśl, że jemu nie udało się stopić moich lodów.

- Dominik, jak sędę, już się do tego zabrał - zauważyła jak zawsze spostrzegawcza Elizabeth. - A teraz pozwólcie, że zachowam się bardzo po francusku, ucałuję was oboje i powiem *au revoir*.

Wymieniliśmy na pożegnanie zdawkowe pocałunki i wyszliśmy, rozstając się z doskonalszą parą.

Czy można uwieść szczęśliwego małżonka w pierwszych dniach po ślubie? A zwłaszcza mężczyznę dostrzegającego w żonie cechy, które przedtem niewiele dla niego znaczyły?

Niemal na pewno nie sprawdziłyby się zwykłe strategie: nadmierna bliskość podczas kąpieli w ustronnym lexingtońskim jeziorze albo przesadne ożywienie połączone z eksponowaniem głębokiego dekoltu. Zresztą rzadko noszę wydekoltowane stroje. Na kogoś takiego jak on nie podziałałby tego rodzaju frontalny atak.

Na uroczystą kolację z okazji rocznicy ślubu rodziców włożyłam nienagannie skrojoną suknię z ciemnoczerwonego aksamitu.

Miała uwydatniać moje dojrzałe kształty, lecz jak zorientowałam się po braku napięcia w szczerym uśmiechu, z jakim mnie powitał, nie zdołałam wyrzucić stosownego wrażenia. Szczerze mówiąc, mnie także razila ta nieco wulgarna demonstracja.

O nie, Elizabeth nie wyszła za głupca. Dostępu do niego broniła też świetlista aureola, jaką w myślach otoczyła Huberta. Powoli zaczynałam godzić się z tym, że w jego przypadku konieczne będzie cierpliwe działanie podjazdowe.

Siedzieliśmy razem w ogrodzie w Lexington. Z jakiegoś powodu

zostaliśmy sami. Próbowałam nie spuszczać z niego wzroku. Przysuwałam się niepostrzeżenie - coraz bliżej. Spojrzał na mnie. Chłodnym wzrokiem. Czy zorientował się? Wstał.

- Chyba widzę Elizabeth. Przepraszam, Ruth.

Czy była w tym jakaś dwuznaczność? W słowach? Może to był sygnał mówiący „zachowaj dystans”? A może, Ruth, on cię przejrzał? Zwyczajnie pojął, do czego dążysz?

Nieco później trochę się pochorowałam. Po wyjściu ze szpitala opanowało mnie znużenie. Dominik nieustannie nalegał i zaczęłam myśleć, czy się nie poddać. Małżeństwo? Z nim? A czemu nie?

Moje sekretne życie, jego fascynujące, pogmatwane ścieżki i nieznośna kakofonia głosów - własny głos na użytek zewnętrzny, jego odwrotne, wewnętrzne echo i wyobrażony głos ofiary - wszystko to wciągało, zarazem stając się coraz bardziej wyczerpujące.

Praca, która nigdy nie znajdowała się w centrum mojej uwagi, coraz bardziej schodziła na margines. „Przebicie się” w roli wydawcy nie było dla mnie konieczne ani finansowo, ani z punktu widzenia głębszych intelektualnych zainteresowań.

Udowodniłam sobie, że mam dość siły i zdolności, by odnieść sukces na wybranym polu. Jednak ambicje ulokowałam gdzie indziej.

Dominik był na swój sposób atrakcyjny. Lubiłam jego zaloty. Miałam nad nim pełną kontrolę. Myśl, odkąd się pojawiła, stawała się coraz bardziej interesująca. Przeczując zwycięstwo Dominik zdecydował się nagle na bezpośredni atak. Pochlebiali mi to i zmęczona uległam.

Wzięliśmy cichy ślub w Londynie. Lexington miało już swój dzień zwycięstwa. Nie chciałam być tam drugą panną młodą.

Potem jednak znów utraciłam prawo pierwszeństwa. Elizabeth zaszła w ciążę. Syn Stephen, który przyszedł na świat po cesarskim cięciu, stał się dla nich obojga, Elizabeth i Huberta, źródłem wielkiej radości. Z myślą o dziecku przemeblowali mieszkanie, a Hubert odłożył powrót do Paryża. Dumny ojciec - i szczęśliwy małżonek - był nietykalny.

Stephen był katalizatorem. William - syn mój i Dominika - urodził się niecałe dwa lata później. Poród był łatwy i szybki.

Dominik miał wszystko, czego chciał. Ukochaną kobietę i syna. Czy to nie dziwne, że czasem chciałam go ukarać?

A przecież byłam dobrą, oddaną matką. Na widok Williama przestawałam myśleć. Odkryłam w sobie pragnienie poświęcenia się. Filigranowe ciało - sama je kapałam i ubierałam.

Niezgłębiona tajemnica krzyków i milczenia, i to utkwione we mnie wszechwiedzące spojrzenie.

Potem wytrwałe ruchy, uparte dążenie w moją stronę. Znane dźwięki brzmiące jak nowe. Przede wszystkim w moich uszach. Byłoby tego aż nadto. Dla mnie. Dla każdego. Lecz wtedy nigdy nie miałam dosyć.

Po odejściu niańki sama doglądałam we wszystkim Williama. Dominik był zaskoczony, zarazem dumny.

Wiedziałam, że moja miłość do syna wprawia go w zachwyty. Miał więc coś na pocieszenie. Bilans wypadał na zero. Tyle przynajmniej mu się należało.

Dbając starannie o zachowanie ukochanej harmonii przestrzennej Dominik dokupił przyległą kawalerkę, by stworzyć dla pięknej żony i syna obszar ładu i symetrii.

Na tle białych ścian stanęły meble rozmieszczone zgodnie z geometrycznym planem. W rogach - jakże wzruszające - kremowe sze-zlongi, krąg ciemnych krzeseł, idealny prostokąt niskich drewnianych stolików z kutymi żelaznymi nóżkami. Jak

mi powiedział, stary indiański wzór. Staroświecki globus dominował w jednym końcu salonu, w drugim stał wspaniały teleskop.

William zamieszkał w pokoiku koloru żółtych jaskrów. Niemożliwie zielone krowy i pasterze zdawali się ścigać wśród pokrywających kapę żółtych kwiatów. Uspokajało go to i przytulał do siebie miękką kołdrę jak szmacianą laleczkę, która nie próbuje stawiać oporu.

W naszej sypialni błękit subtelnie kontrastował z granatem. Przewadziły z niej drzwi - Dominik ofiarował mi klucz - do podłużnej garderoby. Po jednej stronie na wieszakach wisiały stroje opinające ciało, które uwielbiał. Moje buty stały w równych, uporządkowanych według kolorów szeregach. Na otwartych półkach spoczywały jeden na drugim starannie poskładane swetry - regularna tęczą barw, czarnej, beżowej i czerwonej. Na toaletce stały w doskonałym ładzie kremy i pudry. Mniej atrakcyjne utensylia znalazły miejsce w odpowiednich szufladkach.

W tym wąskim i ciemnym pomieszczeniu przechowywałam rze-

czy Elizabeth. Buty na obcasach - czarne lakierki. Para jedwabnych majteczek - oliwkowe i czarne, trochę je przerobiłam, żeby pasowały do mojej figury. Pończochy. Szczotka do włosów, nowy nabytek. Beret. Też nowy. Rozumiałam seksualny podtekst wielu tych rzeczy i cel, do jakiego mogłyby mi służyć. Ale nawet najintymniejsze części garderoby nie świadczyły o tym, że pożądam jej ciała. O nie, byłam znacznie bardziej wymagająca. Elizabeth zdawała się nie dostrzegać strat. To chyba naturalne. Takie drobiazgi? I przez tyle lat?

Początkowo, w pierwszych dniach naszego małżeństwa, byłam bardzo ostrożna - wszystko to kryłam pod stertami odzieży. Albo starannie chowałam na dnie szuflady. Z czasem jednak garderoba stawała się coraz bardziej moją prywatną domeną, do której nikt nie miał dostępu. Poczulałam się swobodniej. Te rzeczy nie były przeznaczone do normalnego użytku.

Służyły tajemnym misteriom, podczas których chodziłam jak w transie po moim mrocznym królestwie, wpatrując się urzeczona we własne ciało przemienione w ciało Elizabeth.

Dawny styl stosunków z Dominikiem przeniósł się na okres małżeństwa. Coraz bardziej fascynowała mnie władza, jaką miałam nad nim. Wiem, że nie było to szczególne osiągnięcie. Ot, taka sztuczka. Ale wtedy nie miałam specjalnych ambicji. Kto je ma? A może dziedziczymy jakąś pradawną wiedzę? Większość z nas nie pragnie świata, jakby wiedząc podświadomie, że jest on źródłem rozczarowań. Wystarczy patrzeć, jak inni, nieliczni, idą po omacku własną ścieżką ku mądrości. Jak schwytni w sidła geniuszu muszą poświęcać siebie, jak obezwładnieni własnym talentem naśladują prostaczków. O wiele łatwiej przyglądać się z widowni aktorom rozgrywającym zaskakujący finał.

## 10

Może otumanilo mnie macierzynstwo. Dni mijaly jak we śnie. Przespanych pięć lat, aż pewnego razu zadzwonił telefon -w Lexington, gdzie postanowiłyśmy z Elizabeth spędzić weekend, kiedy nasi mężowie wyjechali w interesach.

To ja odebrałam. Słuchałam uważnie. Starannie odłożyłam słuchawkę. Jakiś czas, dość długo, siedziałam sama w salonie.

Potem wyszłam poszukać Elizabeth. Przycinała róże w ogrodzie. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Coś kazało jej uciekać. Puściła się pędem, potykając się i zataczając, idąc i biegnąc na przemian, z tarasu przez trawnik, park i zarośla w stronę jeziora. Uciekając od tego, o czym ja już wiedziałam. O czym jej powiem, kiedy ją dogonię. Albo kiedy ona zatrzyma się. Co będzie pierwsze? To kwestia odwagi. Jej odwagi.

W końcu - czyż to nie wspaniałe? - zdecydowała się stawić mi czoło.

Szeptem przekazałam wiadomość. - Nie! Nie! - krzyknęła. I zemdląca. W decydujących momentach życiowych ciało okazuje nam swą lojalność.

Ze wszystkich, którzy mogli przekazać taką wiadomość, wybór padł na mnie. Zdecydował przypadek - Dominik wyjechał do Kalifornii, a rodzice wybrali się do Londynu. Stałam, obserwując, jak dociera do niej świadomość tego, co się stało. Wsłuchiwałam się w wysoki, przenikliwy głos kobiecej rozpacz. Dźwięk jak brzytwa przecinający powietrze. Ciągłe klęcząc zaczęła walić ręką w ziemię. Ta jednak nie ustępowała. A jeśli nawet, to tylko po to, żeby łatwiej potem przyjąć go do siebie.

Przegrała. W jednej chwili poniosła całkowitą porażkę. W mgnieniu oka jej dotychczasowe życie legło w gruzach. A nowe objawiło się z okrutną jasnością. Została pokonana przez eksperta, śmierć odarła ją ze wszystkich osłon. Zrozumiałam to w nagłym przyplywie chłodnej litości. Potem uklęknęłam obok, by pocieszyć tragiczną wdowę. Pomyślałam, że teraz już nigdy nie będzie mi dane ich zniszczyć. Ani dotrzeć do niej poprzez Huberta. W jakimś sensie odebrano mi moją ofiarę.



Grzebiąc zmarłych doznajemy wielu różnych emocji. Rzadko jest to świadomość własnej śmiertelności. Akt złożenia do grobu dzieli ostatecznie ich i nas. Życie innych jest dla nas często snem, i snem jest ich śmierć.

Czasem tylko cierpimy prawdziwą udrekę. Jak Elizabeth owego dnia. Smutek rozlewał się jej po twarzy, jakby płyny ustrojowe, limfa i krew, uderzały wezbraną falą protestu o monolit kości. Tylko oczy pozostawały nienaturalnie spokojne.

Wydało mi się to nie na miejscu. Jednak czułam emanującą z nich siłę. Trzymałam się z daleka.

Zastanawiałam się jak będzie za rok, może pięć lat. Hubert, senny duch przystojnego męża - wspomnienie, które będzie musiał uszanować jego następcą. Bo niemal na pewno pojawi się w przyszłości. Żeby zająć miejsce, które Hubert utracił. Czy to okaże się ważne? Dla niej? Za pięć lat?

Po katolickiej mszy i poruszającym *Dies irae* Elizabeth prowadzona przez ojca, który ujął ją mocno pod ramię - tuż za nimi postępowali rodzice Huberta, wysocy, drżący, unikający kontaktu - powiodła kondukt przez nawę siedemnastowiecznej kaplicy w Tours. Szłam

obok płaczącej matki przepełniona spokojem. Dominika nie było z nami. Okazał wyczucie i takt zabierając oszołomionego Stephena i podekscytowanego Williama do przyjaciół w Szkocji. W drodze na mały cmentarz, gdzie Hubert miał się połączyć z przodkami, angielscy goście rozmawiali szeptem.

- Wypadki samochodowe to dzisiejsza plaga. Ginie w nich najwięcej ludzi, zważywszy...

- Nikt inny nie zginął. Całe szczęście.

- Wydostanie go trwało godzinami... był okropnie...

- Był strasznie... połamany. Wszystko - Francuz szukał słowa - wszystko... połamane...

Oprócz oczu. Które mu oczywiście zamknęli.

Elizabeth pozwoliła się wyprowadzić z cmentarza, a w drodze powrotnej samolotem do Londynu cały czas milczała. Odmówiła udziału w zgromadzeniu rodzinnym w Les Cyprès, *château* Baathusów. Podczas jazdy samochodem do Lexington siedziała bez ruchu, zgarbiona i pogrążona w milczeniu.

Po przybyciu na miejsce poszła prosto do swoich pokojów. Dała nam milczący znak, żebyśmy zostawili ją samą. I tam pozostała. Pływały godziny. Pływały dni. W ciszy i milczeniu.

Wszelkie słowa, wszelkie dźwięki były zakazane. Kiedy przynosiliśmy jedzenie, mówiliśmy o lekarzu... o pomocy... patrzyła na nas tak, jakby nasze słowa sprawiały jej fizyczne cierpienie.

Rodzice byli coraz bardziej zaniepokojeni jej stanem.

Próbowałam ich uspokoić. Wiedziałam, że Elizabeth dojdzie do siebie. Uzna to za swój obowiązek. Wobec syna Stephena, nad którym sprawuje opiekę. Wobec ludzi, którzy tak bardzo ją kochają i którym nie powinna przysparzać dodatkowych cierpień. Nawet cierpiąc nie potrafiła zachować się egoistycznie.

Po czterech dniach usłyszeliśmy jej krzyk. Wysoki, przeciągły. Potem następny, i następny. Pobiegliśmy do niej. Kiedy dotarliśmy do jej pokoju, starała się desperacko zamknąć okno. - Straciłam go. Odszedł. Właśnie teraz. Chciał odejść. Nie mogłam go zatrzymać. Mam go tu - rozdygotana schwyciła się za pierś. - Hubercie, wróć! Wróć! Proszę, proszę, och, Hubercie! Wróć! - Obrzuciła nas wzrokiem szaleńca. - Nie chciałam go obudzić. Był taki spokojny. On spał, leżał we mnie. Bałam się, że go obudzicie. Kiedy przychodziliście ze mną rozmawiać. Bałam się, że... że on się obudzi. I odejdzie. Och, Hubercie! Hubercie! Właśnie odszedł ode mnie. Udało mu się wyjść ze mnie. Hubercie, ja jestem pusta. Jestem pusta. Jestem pusta. Staliśmy jak skamieniali, porażeni jej bólem. Mimowolni, przestraszeni świadkowie bezgranicznego cierpienia. Potem zgodziła się na wizytę lekarza rodzinnego. Usiedli razem, rozmawiali cicho godzinami. Po wyjściu powiedział, że będzie spała. Możę parę dni, z przerwami. I tak się stało. A potem było już po wszystkim.

## 12

Zwróciło się do nas wydawnictwo Derwent Harding z ofertą dla Alpha Publishing. Musieliśmy to rozważyć - stwierdził ojciec.

- Nie powinniśmy ogłaszać tej wiadomości - powiedziałam. Jedliśmy zorganizowaną pośpiesznie rodzinną kolację.

- Masz rację. Ale wtedy zarządowi bardzo na tym zależało. A chociaż jestem przewodniczącym, nie rodzina podejmuje decyzje.

- Wiem, ojczy. Myślałam o utworzeniu w ramach Alpha wydawnictwa książkowego. Może za parę lat, kiedy William będzie starszy.

- Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

- Może chciałam ci zrobić niespodziankę.

- Och, to nigdy nie sprawiało ci trudności. Ruth mamy zobowiązania wobec firmy, powinniśmy to przemyśleć.

- Coś jakby zbiorowe *noblesse oblige*?

- W pewnym sensie tak. Jesteśmy ciągle największym akcjonariuszem. Ale zarząd uważa, że to jest poważna oferta, o której należy powiadomić innych właścicieli akcji. Zamierzam złożyć rezygnację z funkcji przewodniczącego.

- Co stanie się z Alpha, jeśli przyjmą ofertę? - spytałam.

- Oczywiście firma zachowa nazwę handlową, ale będzie należeć do Derwenta. Znaczy to, że nasze czasopisma będą miały większe szanse na rozwój. To naprawdę dobry pomysł.

Elizabeth? - Spojrzał na nią. Była ubrana w czerń. Minęły prawie cztery lata.

- Sądzę, że musimy się zgodzić na wszystko, co postanowi zarząd. Nigdy nie zrobiłam nic dla Alphy - powiedziała.

- Firmę stworzył twój dziadek. Gdyby nie on, nie byłoby jej - wtrąciła matka.

- Ani nas, jeśli już o to chodzi - odparłam.

- Ruth - powiedział ojciec niemal ze smutkiem. - Wiesz, kochanie... uważam, że pomysł z wydawnictwem jest niezły, ale nie sądzę, żeby to pasowało do profilu firmy. Jestem pewien, że zarząd zgłosiłby sprzeciw.

Ostatecznie postanowiliśmy, że w następną sobotę prezes Derwent zje z nami lunch w Lexington. Będzie to okazja do spotkania z rodziną i porozmawiania o przyszłości Alphy w miłszej atmosferze.

- A więc wszystko uzgodnione? - Ojciec obrzucił nas spojrzeniem. Kiwnęliśmy głowami.

Nagle przeszył mnie dreszcz. Może zafalowała utkana przez anioła zasłona?

Z głównego hallu domu w Lexington prowadziły drzwi z surowego drewna do wysoko sklepionego salonu z ogromnym kamiennym kominkiem w stylu francuskim.

Po bokach stały sofy z obiciem *a la Aubuson* - niczym dwaj wartownicy strzegący niskiego marmurowego stołu w kolorze zieleni wpadającej w czerń. W obu końcach pokoju otwierały się dwuskrzydłowe drzwi w kolorze brązu; na wprost nich na okrągłych stolikach pokrytych dekoracyjną tkaniną umieszczono kompozycje czerwonych róż pozbawionych u dołu liści. Kilka czarnych krzeseł z wysokimi oparciami i rzeźbionymi poręczami zniechęcało ewentualnego amatora wypoczynku.

W ciemnej zieleni draperii wiszących po obu stronach kominka jakby odbijał się daleki widok rozpościerającego się za dziedzińcem parku i niemal niewidocznego jeziora. Ściany między skrzydłami okien nie zdobiło nic oprócz rozsuniętych ciężkich zasłon z zielonego aksamitu. Był to ciemny, ponury pokój.

Do małej biblioteki wchodziło się od północnej strony głównego pomieszczenia. Można tam było grać w karty i szachy, można też było czytać.

Jadalnia z długim mahoniowym stołem i srebrnymi kandelabrami ozdobiona ogromnym płótnem o tematyce religijnej mogła śmiało służyć jako kaplica.

Wszystkie pokoje utrzymane były w ciemnej tonacji. Francuskie rozchylane okna zapraszały do środka, jednak światło uprzejmie wolało zostać na zewnątrz.

Oprowadzany przez ojca po tych apartamentach, wkroczył do naszego życia sir Charles Harding.

Był sporo po czterdziestce, wysoki, o szerokiej, niemal prostackiej twarzy. Nie uśmiechnął się ściskając mi zdawkowo rękę.

Spojrzał na Elizabeth. Była jak zwykle ubrana w czerń. Czy zdawała sobie sprawę z dramatycznego efektu, jaki wywołuje kontrast owego stroju z jej bladą twarzą? Że sprawia to wrażenie siły, której tak jej brakuje? Nie, ona nie miała takiej intuicji. Ja owszem. Brak makijażu i uczesanie nadawały jej wygląd zakonniczki. Dostrzegłam wyraźne zaskoczenie patrzącego na nią sir Charlesa.

Pojawiła się matka doglądająca przedtem ostatnich przygotowań. Przyjęła ukłon i dworny pocałunek, jaki złożył na jej ręce.

Sir Charles Harding pochwalił piękno różanej kompozycji.

Matka rozpromieniła się na ten dowód uznania dla jej skrywanej pasji. Róże nie tylko określały geometrię pokoju. Dla mojej matki wyznaczały rozkład tygodnia. W każdy poniedziałek i czwartek zamykała je w ciemnozielonym porcelanowym więzieniu - to był rytuał. *Parkdirektor Riggers*, wiecznie kwitnąca odmiana. Wysokie, po męsku wyprostowane, jakby chciały dochować wierności swej nazwie. Dwa razy w tygodniu szła do małego kuchennego pomieszczenia, gdzie włożywszy płócienne rękawiczki brała sekator z przygotowanej tacy pełnej chirurgicznych instrumentów i przycinała do określonej długości każdą bezbronną ofiarę leżącą na błyszczącym chromowanym stole operacyjnym. Potem małym ostrym nożem o kształcie sztyletu starannie nacinała długą na centymetr ranę u podstawy każdej zielonej łodygi. Oddając się najbardziej uspokajającej czynności, układaniu kwiatów, ubrana w jeden ze swoich kaszmirowych swetrów i wygodną spódnicę - czasem uzupełniała ten strój kapeluszem panama - powinna być dla kochającej córki uosobieniem statecznej pogody.

Teraz, doskonała jak zawsze gospodyni, powiodła nas wszystkich do stołu.

- Pragnę zapewnić - powiedział siadając po jej prawej ręce sir Charles - że nie skorzystam z tej oferty, gdyby państwu nie odpowiadała. - Po chwili dodał: - Nie mam takiego zwyczaju. - Jego głos brzmiał dziwnie ostro, nieco urywanie.

- Nie wątpię, sir Charles - rzekł ojciec. - Doceniamy pańskie intencje, ale rozważyliśmy sprawę i pozostaniemy przy decyzji podjętej w zeszłym tygodniu.

- W sprawie nazwy?

- Tak.

- Powiadomiłem wasz zarząd - kontynuował sir Charles - że nie będzie z tym żadnego problemu. Ani teraz, ani później. Możemy wstawić ten punkt do umowy jako podstawową klauzulę. Wiem, czym są rodzinne zobowiązania w biznesie. *Buddenbrookowie* to jedna z moich ulubionych powieści.

- Ach, tak. Mann - odparł ojciec. Jego ton zabrzmiał dwuznacznie. Trudno było stwierdzić, czy ma na myśli *Buddenbrooków*, czy w grę wchodzi nie ujawnione dotąd antyniemieckie uprzedzenia. - Wolę *Czarodziejską górę* - dodał bez nadmiernego entuzjazmu.

- Sir Charles, ta rozmowa staje się bardzo literacka - powiedziałam. - Nie wątpię, że pańskie zrozumienie dla naszych uczuć jako właścicieli Alphy wynika z faktu, iż pana rodzina długo używała swojego nazwiska. I prosperowała. Do tego stopnia, że możecie nas teraz kupić. Może to jest przyczyna głębsza niż naj uważniejsza nawet lektura Tomasza Manna.

- Ma pani rację.

Szorstki ton sprawił, że zgoda wyglądała niemal jak zaprzeczenie. Odwrócił się do Elizabeth. Siostry Elizabeth.



Tragicznej wdowy interesującej nieskończenie bardziej niż Ruth. Efekt wywoływał sam jej smutek i to, jak go znosiła.

- Pani Baathus?

- Proszę mówić do mnie Elizabeth.

- Dziękuję, Elizabeth - wymówił imię jakby przeciągając początkową głoskę *e*.

I mocne, rytmiczne *beth*. Jej imię zamieniło się w muzykę. Moje było jak krótki, ostry zgrzyt.

Głos Elizabeth brzmiał spokojnie. Jak zawsze.

- Cieszę się, że nazwa nie zostanie zmieniona. Nasi dziadkowie byliby zadowoleni. Ojciec mówi, że pracownicy uważają pańską firmę za odpowiednie miejsce dla siebie.

- Coś jakby małżeństwo, prawda? - wtrąciłam. Chciałam prze-rwać tę... komunię dusz.

- Tak - sir Charles był oszczędny w słowach.

- Z dominującym współnikiem? - kontynuowałam atak.

- Oczywiście.

- Czy taka jest pańska wizja biznesu i małżeństwa?

- Tak, pani Garton.

- Ruth, proszę...

- Dziękuję... Ruth.

*Ruth*. Jedna sylaba. Jak zgrzyt.

- Mówimy o sprawach doczesnych, a w sprawach doczesnych wolę mieć dominującą pozycję - sir Charles uśmiechnął się. Po-wściągliwie.

- To niezbyt nowoczesny pogląd - odparłam.

- Istotnie. Jednak małżeństwo nie ogranicza się do spraw doczesnych. Faktycznie kobiety rządzą tym królestwem.

- Niech pan mówi dalej - zachęcił ojciec.

- Moim zdaniem kobiety wykazują czasem brak zrozumienia. Są tym, co najważniejsze w życiu. Są w centrum świata. Odrzucają to wszystko, a walczą o to, żeby znaleźć się na jego peryferiach.
  - A co, jeżeli z czasem zdominują ten świat? - spytałam z uśmiechem.
  - No cóż, powiedzą, że to pozorny sukces.
  - „Któż z nas dostaje to, czego pożąda? Albo mając to, jest zadowolony?” - zacytowałam.
- Wyglądał na zaskoczonego.
- To z Thackeraya - powiedziałam.
  - *Targowisko próżności!*
  - Tak, sir Charles - nie byłam pewna, kto z nas uzyskał punkt.
  - Cyniczniej szy od Manna. Mam wrażenie, że Thackeray bardziej pani odpowiada.
- Do licha.
- A co sądzi lady Harding o jej miejscu w świecie i życiu?

- Lady Harding nie żyje.

Elizabeth zwróciła lekko głowę w jego stronę. Ich oczy spotkały się. Raz jeszcze poznałam banalną prawdę o potędze bólu.

- Przykro mi - powiedziałam.

- Ruth nie mogła o tym wiedzieć. Jestem pewna, że sir Charles to zrozumie.

Dzięki ci, Elizabeth. Moje milczące dzięki.

- Oczywiście. Proszę się nie usprawiedliwiać.

- Sir Charles, chce pan, żebyśmy jako rodzina sprzedali wszystkie nasze akcje. Nie tylko tę część, która da panu pakiet kontrolny.

Ojciec chciał, jak zawsze, szybko wrócić do kwestii mniej niebezpiecznych niż sprawy mężczyzn i kobiet, życia i śmierci.

Świat doczesny był tym, z czym umiał sobie radzić. Rozmowa przeciągała się - dyskretna i kulturalna - w takich dyskusjach sir Charles zajmował zwykle zdecydowane stanowisko.

Dominik pojawił się, kiedy podano herbatę. Miał mnie zabrać.

Wybieraliśmy się na koncert z jego rodzicami, którzy odwiedzili na krótko Londyn.

- Sir Charles, muszę opuścić pole bitwy - uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Zdążyła pani jasno określić swoje stanowisko. Przypuszczam, że tak jest zazwyczaj.

Uśmiechnęłam się na pożegnanie. Miałam na myśli inne pole niż biznes. Czy domyślił się tego?

Parę godzin później ciało Dominika spoczęło na moim. Znowu szeptał słowa miłości. Może muzyka rozbrzmiewająca w jego uszach sprawiła, że nie usłyszał mojego milczenia.

Ruth... - jak ruch odmierzającej takt pałeczki dyrygenta.

Rozmawialiśmy tydzień później przez telefon. - Mam poczucie, że byłem dość szorstki podczas naszego niedzielnego spotkania.

Może pani i pan Dominik... - Poczekaj, Ruth. - I pani siostra Elizabeth zechcielibyście zjeść ze mną kolację w czwartek?

- Czy rozmawiał pan z Elizabeth?

- Nie.

Odczekałam. Zawsze byłam mądrzejsza. Czuł się niepewnie. To było dla niego niewątpliwie niecodzienne doświadczenie.

Wpadał, może świadomie, w pułapkę.

- Pomyślałem... że to nie w porządku... przecież ona jest...

- Wdową.

- Tak.

- Wdową w żałobie.

- Właśnie. Właśnie Zauważyłem to.

- Nie chce pan chyba, sir Charles, żebym poprosiła ją w pana imieniu?

- Oczywiście, że nie. O mój Boże. Sprawilem pani kłopot. Przepraszam. To całe przedsięwzięcie było... bez sensu.

- Przedsięwzięcie?! Co za przedsięwzięcie, sir Charles, po prostu zaproszenie. Muszę zapytać Dominika, ale osobiście nie widzę przeszkód.

- Och, to świetnie - wyczułam ulgę w jego głosie.

- Elizabeth pozostawiam panu.

- Oczywiście.

- A zatem do czwartku.

- Do czwartku.

Dominik dał się jak zwykle łatwo przekonać. Och, mój ty Dominiku z twoją ładną twarzą i błyskotliwym umysłem.

Wspaniałymi włosami w kolorze pszenicy i ciałem młodzieńca - Dominiku, dlaczego robisz to sobie? Dlaczego nie wybrałaś prawdziwej kochanki? Dlaczego pozwoliłaś, żebym wyrządziła ci krzywdę? Gdzie nauczyłeś się zdradzać samego siebie? Kto był twoim mistrzem? Ja. Myślę, że to byłam ja.

Jechaliśmy do małej restauracji w Mayfair - niezbyt oryginalny, a przez to na swój sposób kojący wybór. Patrzyłam na swoje odbicie w bocznym lusterku samochodu. Kolor kremowy.

Mogłam śmiało zgadywać, że Elizabeth wybierze czerń.

Uznałam, że we wspomnieniach Charlesa Hardinga z pierwszej kolacji z Elizabeth powinna gdzieś w tle majaczyć moja postać utrzymana w tonacji kości słoniowej. Pomyślałam, jak istotny jest dobór stroju do roli. Nawet wtedy, kiedy trzeba długo czekać za kulisami.

Sir Charles przybył pierwszy. Elizabeth spóźniała się, rzecz jasna przez przypadek. Sączyliśmy drinki. Kiedy czekaliśmy na przybycie tej, której poświęcony był wieczór, patrzyłam, jak Harding studiuje z pewnym zainteresowaniem moją urodę.

Elizabeth usiadła - trochę sztywno, poważnie, z wdziękiem i zakłopotaniem przepraszając nas za spóźnienie.

Sir Charles znalazł sposób, by wkroczyć w nasze życie. Odniosłam wrażenie, że nie lubi tracić czasu. I że ta kolacja będzie jedną z wielu.

Usiadłam obok niego. Elizabeth i Dominik zajęli miejsca naprzeciw. Dominik jak w pułapce, Elizabeth z mniejszym niż przypuszczała polem manewru. Sądząc, że uczestniczy w rodzinnej kolacji, rozluźniła się na tyle, by oczarować Charlesa. Przysłuchiwałam się, jak odpowiada na jego starannie sformułowane pytania.

- Nie, nie zrezygnowałam z pracowni. Będę tam malować. Codziennie. Dominik uświadomił mi kiedyś matematyczne piękno jej proporcji. Ale kocham ją z powodu światła, które dochodzi tam wyłącznie przez okno w suficie. Nie rozprasza mnie widok ogrodów i innych domów. Może to brzydko z mojej strony, ale teraz samotność stała się dla mnie czymś szczególnie ważnym.

- Dlaczego brzydko?

- Bo wszyscy, rodzice, Dominik, a zwłaszcza Ruth, tak bardzo mi pomogli i byli tacy dobrzy. I oczywiście mój kochany synek Stephen, który tak bardzo starał się mnie pocieszyć. To takie złe... małoduszne... powiedzieć wszystkim, którzy mnie kochają, że pragnę samotności.

- A pani malarstwo? Co pani teraz maluje?

- Nic.

- Jak to nic? Przecież powiedziała pani, że chodzi tam malować.

- Tak, to prawda. Chodzę tam, ale nie maluję.

Nie wiedziałam o tym. Kiedy cię wreszcie poznam, Elizabeth?

- Dlaczego? - spytał sir Charles.

- Nie wiem, wiem tylko, że powinnam tam chodzić codziennie.

Kiedyś okaże się, że to jest właśnie ten dzień.

Sir Charles odchrząknął. Był najwyraźniej poruszony.

- Więc co pani tam robi?

- Siedzę i czekam.
  - Na natchnienie? - spytałam. To już naprawdę trwało zbyt długo.
  - Czekam na to, co powinnam namalować.
  - Czemu nie działasz nadal - przypomniałam sobie słowa Huberta
  - pod urokiem chwili?
  - Bo to znaczyłoby, że śmierć Huberta mnie nie zmieniła. Zapadła cisza.
  - Dość tego. Mówię więcej o sobie, niż...
  - Masz we zwyczaju.
  - Tak.
  - No więc, za... oczekiwanie na to, co powinniśmy zrobić.
- Sir Charles podniósł kieliszek. Patrzyłam, jak pije do niej. I na Dominika, który nieświadom niczego uniósł ku mnie swoją szklaneczkę, nie czując, że ktoś wyrządza mu krzywdę.

15

Opowiedz mi o Charlesie Hardingu - poprosiłam Helen podczas lunchu.

- Dlaczego?

- Nie wiesz, że on chce kupić Alphę?

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Nigdy dotąd nie interesowałam się firmą.

- Powiedzmy, że jestem osobą skrytą - zaśmiałam się.

- Tak naprawdę nie znam go za dobrze.

- Znasz go lepiej niż ja. Jaki on jest?

- No dobrze, jest przestraszony.

- Kogo się boi?

- Boi się zawodu wydawcy. I City.

- Dlaczego?

- On jest szalenie błyskotliwy, w sensie intelektualnym. Przecież ukończył Oksford. I uważa się go za twardego biznesmena.

- A jest nim?

- Nie, raczej nie. Jego sukcesy nie mieszczą się w granicach rachunku prawdopodobieństwa.

- O Boże, daruj sobie tę matematykę!

- Nie jestem w zмовie z Dominikiem.

- Helen, kiedy patrzę, jak na ekranie telewizora wyjaśniasz, dlaczego ta czy inna spółka osiąga zyski, nie mogę zapomnieć uczennicy sprzedającej prace domowe z matematyki za perfumy i szminki, które koniecznie chciała mieć.

- Nie tobie, moja droga. Ty zawsze byłaś za dojrzała na takie udawanie dorosłej.

- Cóż, Helen, wolałam sama odrabiać moje prace domowe.

- A teraz?

- Co masz na myśli?

- Odrabiasz pracę domową na temat Charlesa Hardinga.



- No cóż, powiedziałam ci, że on ma przejąć naszą firmę.

- Hmm.

Idea przyjaźni była dla Helen obca nie mniej niż dla mnie.

Dlatego w rozmowach z nią musiałam się wyjątkowo pilnować.

Miała rude kręcone włosy i szarozielone oczy o ostrym spojrzeniu. Kiedy otwierała je szeroko prowadząc wywiad, nawet najbardziej zabójcze pytania brzmiały dobrodziejnie. Dysponowała jakąś kobiecą siłą, którą przedstawicielki jej płci w dzisiejszych czasach tak podziwiają. Darów natury wspartych podziwu godną inteligencją używała w prostym celu - opanowania twardych mężczyzn. W pracy była świetna, nieco złośliwie skrywała swoje pragnienia i oddawała się, jak sądzę, bez przyjemności. W naszych stosunkach podziw łączył się z elementem konkurencji.

- Znałaś jego żonę?

- Felicity? Nie za bardzo. Spotkałam ją parę razy, kiedy była żoną na pokaz. Nawiasem mówiąc, zawsze była w tym dobra. Umarła cztery lata temu.

- Co się stało?

- Długo chorowała. Chyba problemy z sercem. Ale koniec nastąpił nagle.

- Dzieci?

- Jedno dziecko. Dorosły syn. Mieszka, zdaje się, w Ameryce. To małżeństwo trwało dość długo. Nie było żadnych skandali, o których bym słyszała. Charles Harding nie nadaje się do kronik towarzyskich. Jest o wiele za sprytny. Oczywiście, może coś ukrywać... - przerwała - ale na pierwszy rzut oka jest tym, kogo widzisz. Rekin giełdowy... Wdowiec.

Znałam Helen dostatecznie dobrze, by odnotować pauzy i dwu-znaczniki...

- Na pierwszy rzut oka? Co masz na myśli?

Odchyliła się w krześle patrząc na mnie pytająco. Westchnęła.

- Czy mogę ci ufać? To naprawdę absolutna tajemnica. Kiwnęłam głową. Po chwili milczenia zaczęła cicho mówić.

- Rok przed śmiercią Felicity, ona, pamiętaj, przez pewien czas chorowała, Charles miał przelotny romans z młodą kobietą. Była w nim... szalenie... zakochana. Myślę, że to było bardzo intensywne, bardzo seksowne. Tak czy inaczej, on chciał z tym skończyć. I ona... zabiła się. Znałam jej rodziców. Wszystko zostało zatuszowane. Jej ojciec był adwokatem koronnym. Miał ogromne wpływy.

- A Charles Harding?

- On, on był kompletnie... załamany. Winił siebie za wszystko. Zaraz potem umarła Felicity. To był podwójny cios dla człowieka, który, moim zdaniem, wierzył, że umie poradzić sobie ze wszystkim i ze wszystkimi. I który nadal, jestem pewna, czuje się bardzo winny.

Zrozumiałam teraz, dlaczego Elizabeth jest dla niego atrakcyjna -idealne lekarstwo na jego zbolełą duszę. Jednak drugie oblicze Charlesa Hardinga? To „bardzo seksowne”? Czy i w tym wypadku chodziło mu o Elizabeth?

- No cóż, może spotka właściwą kobietę. - Uśmiechnęłam się do Helen. Chciałam przełamać rodzący się nastrój intymności.

Zareagowała właściwie, przybierając oficjalną minę.

- Niewiele jest takich - odwzajemniła mój uśmiech.

- Ależ skąd. I są równie niebezpieczne.

Roześmiałyśmy się obie, kończąc rozmowę. Wychodząc pomyślałam, że dowiedziałam się wiele, ale też wiele ujawniłam. Jak na mnie, o wiele za dużo.

Charles Harding zaprosił nas wszystkich na sobotni lunch do swojego domu w Gloucestershire. Przybędziemy niosąc dary. Mówiąc konkretniej, dar w postaci Elizabeth. Powinien się strzec.

Dominik i ja jechaliśmy w milczeniu. Wcześniej odbyliśmy kolejną rozmowę na temat naszego małżeństwa. Leżał obok mnie fizycznie zaspokojony, może wykończony - wszystko jedno - a jego twarz przybrała wyraz jakby bezosobowej zmysłowości. Blond włosy opadły mu swobodnie na czoło. Oczy pozbawione okularów zdawały się patrzeć w przestrzeń, kiedy gładził mnie po włosach szepcząc:

- Ruth... łamiesz mi serce. Westchnęłam.

- Masz to, czego chciałaś. Mnie.

Nie powinniśmy sięgać po to, o czym wiemy, że do nas nie należy. Nawet jeśli jakimś cudem jest nam dostępne.

- Czy wiesz, co to jest katastrofa?

- Myślę, że tak.

- Nie. W matematyce. Czy wiesz, co oznacza słowo k a t a s t r o f a... w sensie matematycznym?

- Nie.

- To „system, który narusza inny”. To ty naruszyłaś mój system. Wtargnęłaś do niego.

- To prawda. Ale są też inne sposoby wejścia w kogoś. Wzięłam prysznic. Po tym, jak wszedł we mnie. Nowoczesne kobiety, nowe, higieniczne zwyczaje.

- Prowadzimy za dużo takich rozmów.

Poranne wspomnienie odpłynęło w niepamięć. Siedzieliśmy w samochodzie.

- Może. To ty, Dominiku, ścigałeś mnie. A ja nie łamię obietnic. Spójrz, jaki piękny dzień. Cieszymy się. Warto spotkać się z sir Charlesem Hardingiem na jego własnym terenie.

Bardzo chciałam, żeby napięcie między mną i Dominikiem nie zostało zauważone. Dominik - w porównaniu z sir Charlesem taki nieatrakcyjny, skłonny do samoponizowania. Musiałam załagodzić spór.

Uwielbiana kobieta - którą oczywiście byłam - wszystko potrafi. Zwłaszcza jeśli popełnia tak niewiele błędów. Równowaga została zachowana. Jego miłość. Mój chłód. Zastanawiałam się, czy Dominik rozumie, jak bardzo potrzebuje cierpienia. Chyba nie.

Widok Frimton Manor Farm, domu Charlesa Hardinga, nieco mnie oszołomił. Był to niski siedemnastowieczny dworek wzniesiony z kamienia na obrzeżach wioski o nazwie Cotswold. Zamiast oczekiwanej okazałości i zbytku zobaczyłam umiar i spokój. Dom krył się za rzędem kasztanów zamykającym niczym krawędź tarasu krótką aleję obsadzoną topolami.

Oczekiwał gości na murowanym ganku. Poprowadził nas do salonu z niskim sufitem, gdzie ogień w kominku, głębokie fotele i stare dywany pokrywające ciemną podłogę z desek oddawały nastrój dawnych i - w rzeczy samej - przyszłych uwiedzeń. Dom niczego nie udawał. Był prawdziwym domem - wedle swej

architektury, dekoracji i panującego nastroju. Jeśli nawiedzały go duchy, to dlatego że mogły czuć się tu dobrze. Może też uznały, że niebo jest trochę za jasne.

Przystąpiliśmy do wymiany uprzejmych komunałów.

- Jak długo pan tu mieszka? - spytałam.

- Od dziecka.

- To wspaniałe. O mój Boże!

- Kiedy pańska rodzina kupiła ten majątek?

- Kupił go ojciec, kiedy się ożenił. Milczenie.

Był uprzejmy, lecz znudzony. Nie winiłam go za to.

Przyjechał następny samochód i po chwili na ganek weszła

Elizabeth. Dostrzegłam napięcie w jego twarzy. Wyraz znudzenia zniknął. Chciałabym nie rozumieć, o co chodzi.

Elizabeth, nadal na czarno, podała wszystkim rękę, potem mnie ucałowała. Fałszywy siostrzany pocałunek. Fałszywa siostra.

Po mniej więcej kwadransie zjawili się rodzice. Zjedliśmy prosty lunch podany przez parę służących, którzy zdawali się należeć do tego domu tak samo, jak stare srebra i lniane śnieżnobiałe

serwety. Przeszliśmy do saloniku na kawę. Ze ściany spoglądał portret kobiety o ciemnej cerze, w błękitnej sukni. Co

zaskakujące, Elizabeth wyraziła podziw nad pięknem obrazu.

- To portret mojej żony - wyjaśnił sir Charles. Chwila milczenia.

- Mijają cztery lata... odkąd umarła.

Szmer ubolewania. Uprzejme uwagi. Równie zdawkowe, co przeprosiny z powodu tego, że się kogoś obudziło. „Bardzo mi przykro. Nie przeszkadzam?” Nic już nie może przeszkodzić tej, która patrzy z portretu. Zastanawiałam się, czy Felicity zakłóciła kiedykolwiek spokój sir Charlesa? Inaczej niż umierając?

- Felicity kochała ten dom. Kochała życie na wsi. Rzadko odwiedzała Londyn.

- A pan?

- Wtedy szukałem poklasku. Kiedy byłem młodszy, wydawało mi się, że łatwiej tam o uznanie niż tu.
- No cóż, zyskał pan powszechne uznanie - stwierdził ojciec.
- Och, pan przesadza. Może w moim świecie.
- I za granicą. To, co pan zrobił dla... - ojciec miał na myśli działalność na rzecz uchodźców.

Nastąpiła chaotyczna wymiana zdań na temat szans na sukces i -co nieodłącznie z tym związane - spraw, jakimi warto się zajmować. Nie bez udziału sir Charlesa wyłaniał się powoli jego dość atrakcyjny wizerunek. Był on przeznaczony dla Elizabeth. Elizabeth w otoczeniu rodziny.

Kiedy Charles starał się ją omotać, ja robiłam to samo z nim. Obserwując go nie byłam pewna, które z nas ma więcej wprawy. Czy Elizabeth przypominała mu Felicity? Nie było między nimi żadnego fizycznego podobieństwa - portret przedstawiał drobną brunetkę w błękitnej sukni. Może inne cechy? Duchowe? Kto wie.

Wspomnienia, z którymi żyjemy i których próbujemy się pozbyć, tak bardzo zniekształcają nasze widzenie codzienności. Jednego dnia gromadzimy doznania, dźwięki, zapachy, by rozmyślać nad nimi jutro. Jutro Charles Harding uzupełni różnymi dzisiejszymi doświadczeniami swoją kolekcję wspomnień. Może włączy do niej i mnie.

Co sprawia czas?

Czas sprawia, że dzieci rosną i siwieją włosy. Że wraz z dorastaniem rozkwita piękno i mnożą się komórki rakowe. Z czasem pary zbliżają się do siebie i z czasem rozchodzą. A kiedy przeznaczone nam lata dobiegają kresu, czas - owa skrzętna gospodyni i zwiastun przyszłych pokoleń - przenosi nas w niebyt. Czas też połączył w parę Charlesa Hardinga z Elizabeth Ashbridge.

Stało się to tak nagle, niepostrzeżenie, z pełną dyskrecją. Z szybkością, która wytrąciła mi broń z ręki. Wdowa została przywrócona światu i życiu. Zahipnotyzowała ją gorliwość, z jaką Charles zabiegał o jej względy. Niewątpliwie też gorąco pragnęła żyć dla innych, a zwłaszcza dla swojego syna Stephen. Wytworzył się nowy układ. Z nowymi graczami. W weekendy i rocznicowe spotkania Lexington brało Charlesa Hardinga w posiadanie tak samo jak niedyś Huberta.

Chłopcy, William i Stephen, stali się bardziej sobie bliscy. Kiedy byli razem, widziałam jedynie miłość. Kiedy staczali dziecięce bójki, miałam wrażenie, że walczą *fair*. *Lecz kto wie?*

Ostrożnie i subtelnie umacniałam swój wpływ na Stephen, syna



Elizabeth. Zwłaszcza w początkowych latach jej drugiego małżeństwa. Kiedy Charles próbował nawiązać kontakt z pasierbem, mnie udało się stworzyć głębszą więź z moim... kim? Siostrzeńcem? Nie. Fałszywa siostra. Fałszywy siostrzeniec. Elizabeth była łagodną i delikatną matką. Była dobra i ciepła. Stephen uwielbiał ją, to nie ulega wątpliwości. Ja jednak stanowiłam ciekawsze towarzystwo. Subtelnie podsycalam jego uczucia.

Byłam dziwną ciotką. Miałam w sobie szczyptę szaleństwa, zmysł przygody, to, czego Elizabeth brakowało.

Ze wszystkiego, co do niej należało, do Stephena miałam najłatwiejszy dostęp. W jakiś sposób pasowaliśmy do siebie pod względem temperamentu. Może był to wspólny rys nieobliczalności.

Cieszyłam się bardzo, kiedy wołał do mnie w Lexington: „Ciociu Ruth, jesteś taka zabawna” albo „Och, daj spokój, ciociu Ruth. Sprawdźmy, kto będzie lepszy”, albo „Wypróbuj mnie, ciociu Ruth”, albo „Ciociu Ruth, chodźmy. Chodźmy”.

Cieszył mnie ten dowód mojego na chłopca wpływu.

Cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdyby Elizabeth była zaniepokojona. Ona jednak zachowywała całkowity spokój.

Czy był to błąd? Elizabeth, czy jesteś pewna, że to pochwalasz?

Z czasem uznałam, że wiem wszystko o Charlesie Hardingu. Skwapliwie gromadziłam dotyczące go fakty. Pozbawione wkłęśnień, jego ciało miało w sobie jakąś spoistość. Był jak posąg. Nogi przywodziły na myśl nie szybkość, ale siłę. Kiedy stał na tle okna, zdawał się przesłaniać sobą słońce.

Ilekcio mówił do innych, czułam to wyraźnie, niemal namacalnie. Kiedy jednak odzywał się do mnie, słowa docierały jak przez mgłę.

Czasami patrząc na niego przypominałam sobie historię opowiedzianą przez Helen. Wiedziałam, że nie mogę jej wykorzystać.

- Elizabeth niczego tak nie oczekuje, jak waszych wizyt. Charles i Elizabeth powitali nas na progu Frimton Manor. Dominik wyjmował nasze rzeczy z bagażnika samochodu. Elizabeth wyciągnęła do nas z uśmiechem ręce. Stephen ruszył biegiem w stronę Williama i mnie. Wymiana pocałunków z Elizabeth.

- Charles ma rację. Zawsze cieszę się na myśl o waszym przyjeździe.

Czasem szczęście Elizabeth napawało mnie odrazą. Dosłownie. Czułam wstręt.

- Przecież spotykamy się co weekend w Lexington.
- Tak. To prawda. Ale tu... tu jest jakoś inaczej. To wielka przyjemność.

Charles był we wspaniałym nastroju, pełen wielkoduszności. Bardzo ważny pan Harding pojawiał się teraz w pracy cztery razy w tygodniu. „Jest pod urokiem - jak przeczytałam w jakimś piśmie w poczekalni lekarza. - Pod urokiem nowej żony, artystki Elizabeth Ashbridge.”

Elizabeth Ashbridge nie jest artystką, westchnęłam myśląc o głupocie dziennikarza. Elizabeth Ashbridge umie ze średnią wprawą namalować niebo.

Zasiedliśmy do stołu - złączeni więzami krwi, miłości i nienawiści, co stanowi dość częstą mieszankę. Wypiliśmy za pomyślność Dominika, człowieka, który pozostał w moim życiu o wiele dłużej, niż mogłabym się spodziewać. Został właśnie najmłodszym szefem w historii Wydziału Statystyki Ministerstwa Skarbu.

- Musisz być z niego dumna, Ruth.
- Nie doceniamy dumy Ruth, tak jak tylu innych jej właściwości - odparł Dominik.
- Ale jej blask świeci w ukryciu - Elizabeth uniosła kieliszek.
- Ruth - Charles zwrócił się do mnie. - Czy chcesz nadal, kiedy William będzie starszy, otworzyć ten dział literacki, o którym wspominałaś?
- Może. Czemu pytasz?

Chciałabym z tobą porozmawiać inaczej. To nie są odpowiednie słowa.

- Ruth ma tyle pomysłów. Książki, jakie chciałaby wydawać... Charles ma rację. To byłoby... - Elizabeth broni mojej sprawy.

Kim jesteś ty, żeby wiedzieć, co jest dla mnie dobre? Jak śmiesz mówić o moim życiu? Wy dwoje. Wasza parka. Jak śmiecie myśleć o moim szczęściu.

- Mówisz bardzo przekonująco. Ale Dominik... waha się. Kochanie?

- Ruth zrobiłaby to znakomicie, jak wszystko inne. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. To ciekawy pomysł. Ale jeszcze poczekajmy, William jest mały, a Ruth tak lubi z nim przebywać - odpowiedział za mnie Dominik.

- Powiedz mi, Ruth, jaka będzie twoja pierwsza książka: odważna powieść młodego, początkującego pisarza? - spytał Charles.

- Na pewno nie.

- Dlaczego?

- Dość już napisano książek.

- Zdziwiasz mnie.

- Przecież... - zaczął Dominik.

- Myślę, że Ruth nas sprawdza. Och, słodka Elizabeth.

- Nie, moja droga. Nie sprawdzam was. Chciałabym wznowić pewne ciekawe pozycje: *Prawa Sparty* albo *Dzienniki erotyczne* w małym kieszonkowym formacie. Pierwszym tytułem byłaby *Encyklopedia diabła*.

Zapadła cisza. Ani Elizabeth, ani Charles nie uśmiechali się.

- Nie znam tej książki. Oczywiście, że nie, Elizabeth.

- Czy to zabawne? - spytał Charles.

- Tak.

Mąż obrzucił mnie spojrzeniem.

- Jesteś szalenie skryta, Ruth - stwierdził Charles.

- To bardzo osobliwa opinia, Charles. Zawsze uważałam się za kogoś bardzo otwartego.

- Nie, to nieprawda. Jeśli zechcesz kiedyś zrealizować swój plan, pomogę ci. Ale muszę wiedzieć, czy masz jakieś ukryte pasje,

którym będziesz chciała dać wyraz, a jeśli nie, to czy znasz się na gustach czytelników.

- A jak myślisz, Charles?

- Myślę, że to drugie nie jest ważne.

- Wydaje mi się, mój drogi, że świetnie rozumiesz Ruth - odczułam dziwny ton w głosie Dominika.

- Nie lepiej niż ty.

- Utajone myśli... wszystko, co ukryte, zawsze nas urzeka.

- Dominik ma rację - powiedziała Elizabeth.

Cóż ty wiesz, Elizabeth, o ukrytych sprawach? Ty, która nic o tym nie wiedząc żyłaś przez lata w cieniu mojej nienawiści.

- No cóż, ja znam ją dłużej niż ktokolwiek z was. Ona zwykle ukrywa swoje zdolności... bo ona...

Dominik roześmiał się. A raczej wydał nagle z siebie ostry dźwięk, który przywykło się uważać za śmiech. Rozwarł usta... wyrzucił powietrze z płuc. Wszystko po to, żeby ukryć ból. Ostatecznie śmiech nie zawsze wyraża gwałtowne uczucia.

- Aha, słyszę samochód.

Charles wstał. Rodzice jedli właśnie lunch z mieszkającym nieopodal dawnym kolegą ojca z jednostki. Przyjechali, żeby wypić z nami herbatę.

- Chodźmy do parku zobaczyć, co robią chłopcy. Przeobraziliśmy się w obserwatorów. Patrzyliśmy, jak ich małe, niezmordowane nóżki wpadają na przeszkody, nie łamiąc się wbrew wszelkim oczekiwaniom. Nasze uszy wypełnił wrzask, który zmroziłby krew w żyłach gdyby nie to, że wiedzieliśmy, jak łatwo przechodzi on w śmiech.

Rozgrzani i ubrudzeni rzucili się na nas. Schwytaliśmy ich, ale oni, jak to chłopcy, wyrwali się i uciekli.

- Służyłem w marynarce - odpowiedział Charles na pytanie ojca. Wracaliśmy do domu. Dziś przypadało święto 11 listopada.

- Ach tak, marynarka wojenna - ojciec uśmiechnął się do Charlesa. Zapadło milczenie. Ojciec jako młody pilot został wzięty do niewoli i spędził rok w Colditz. Nigdy o tym nie mówił. Jego starszy brat Michael został zestrzelony nad Berlinem. Ilekroć wymawiał to imię, miałam wrażenie, że cicho pozdrawia ducha.

- To mi przypomina o moim wieku - westchnął wchodząc na ganek. - Mogę przynajmniej... co pewien czas... wspomnieć tych, którzy odeszli. Zwłaszcza dzisiaj powinniśmy pamiętać o ich poświęceniu. To było coś wspaniałego.

Pomyślałam, że ojciec podsumowuje swój pogląd na świat prawie tak, jakby szykował się do jego opuszczenia.

Potem leżałam obok Dominika - jego szerokie, nagie ciało zajmowało całe łóżko. Mężczyźni owinięci w prześcieradło nie prezentują się najlepiej. Prześcieradła bardziej zdoabia kobiety. Kiedy jego nagość zetknęła się ze mną, przypomniałam sobie właściwą choreografię. A potem mój zimny, pytający wzrok. Nie wiem, czy znalazł w tym zimnym wzroku nieco spokoju.

Elizabeth uznała, że zawiadomienie mnie przez telefon o nagłej śmierci ojca na atak serca byłoby zbyt okrutne. Kazała więc Charlesowi pojechać do mnie do domu. O czwartej nad ranem. Wiedziała, że William jest z Dominikiem w Ameryce z wizytą u dziadków. Wiedziała, że jestem sama.

Dała mi szansę. Jej wiara we mnie i jej dobroć dały mi szansę. Nie byłabym sobą, gdybym z niej nie skorzystała. Zapomnieć o nagłym wstrząsie i zwalczyć ból. Będzie czas na żałobę. Teraz, w tym momencie, mogłam wreszcie poznać tego mężczyznę, męża Elizabeth, i ją poprzez niego.

Kiedy objął mnie, starając się pocieszyć, dostrzegłam w jego oczach wyraz współczucia i przemieniłam je w coś innego.

Umiałam to zrobić. Umiałam wyszukać właściwe miejsce.

Pochylił się nade mną, a ja poruszyłam się tak, że kiedy opadł na mnie, osunęłam się na ścianę pełna żalu i pożądania.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam wyraz jego twarzy świadczący wyraźnie, że odniosłam sukces. I wiedziałam, że on o tym wie. Kwestia doświadczenia. Potrzeby - dawne potrzeby, dziś pogrzebane - pchnęły go w moją stronę. Chciał popełnić grzech. Po to, by przywrócić więź z przeszłością.



Powoli otworzyłam drzwi do mojej garderoby. Szedł krok w krok za mną. Wiedziałam, że pójdzie. Potem, naga, unosząc wysoko ramiona, włożyłam - przedmiot wiecznej pokusy - jej jedwabne majteczki. Poczułam, że duch Elizabeth stanął obok mnie.

Położyłam się na wznak, a on popęzł przeze mnie na czworakach chwytając moje włosy. Jakby chciał je pożreć. Rozdzieliliśmy się stając w przeciwległych końcach wąskiego pomieszczenia.

Twarz ojca przemknęła przez mój zamglony umysł. I przepadła. Pamiętałam, że wszystko stało się przed moim narodzeniem - już wtedy było za późno. Zadawnione poczucie krzywdy pokonało narastający ból. Uznałam, że teraz jest już za późno na wszystko. Moje oczy starły się z oczami Charlesa i pokonały jego opór sprawiając, że ruszył ku mnie jak zahipnotyzowany.

Wzięłam stary czarny but Elizabeth i polizałam obcas. Podałam mu go i powoli położyłam się na wznak nie spuszczać oczu z jego poruszającej się nade mną twarzy. Trzymając but wolno obrysował błyszczącym obcasem kontury mojego ciała. Potem zawahał się. Widząc lęk w jego oczach, uniosłam się z podłogi. Chciałam mu dodać odwagi. Spokojnie, jak w transie, zrobił to, co chciałam. I po raz pierwszy zapłakałam z powodu tego, czym się stałam. Oddaliłam się od siebie bardziej jeszcze, pociągając za sobą przerażonego i zachwyconego Charlesa w stronę ukrytej w skale twarzy, którą zaczynał bezwiednie rzeźbić.

Stało się tak, jak myślałam. Czarne majtki Elizabeth leżały na podłodze niczym symbol jej klęski. Nie pozwoliłabym mu ruszyć ich z miejsca. Znów wróciło dawno zapomniane zdanie *Je est un autre* - ja to ktoś inny.

Umyłam się i ubrałam - w rzeczy Elizabeth. Jechaliśmy w milczeniu do szpitala. Ucałowałam matkę. Jak można było oczekiwać, przywdziała cierpiętniczą szatę. Elizabeth wzięła mnie w ramiona i uścisnęła mocno, by ukoić cierpienie. Może

chciała powiedzieć, że on był moim prawdziwym ojcem. Nie jej. Może to zbyt subtelne, by o tym wspominać.

Charles usiadł obok mojej matki i trzymał ją za rękę, odwracając ode mnie wzrok. W końcu pojechaliśmy do Lexington. Prowadził Charles. Wdowa i dwie żony. W tym jedna jego.

Dorośli członkowie rodziny żegnający patriarchę rodu są nie tyle pogrążeni w smutku, co zajęci jego okazywaniem. Nawet nagła śmierć starego człowieka jest czymś spodziewanym.

Kiedy stałam w kościele, mój smutek przesłaniał odgrywający się nieustannie przed oczami duszy film ukazujący mnie i Charlesa.

Nasze ciała. Śledziłam go skrycie, z napięciem. Czy Dominik nie powiedział mi kiedyś, że patrzenie na pewne obiekty zmienia ich układ? Charles, czy jesteś teraz tym samym mężczyzną? Czy ja jestem tą samą kobietą? Czy istnieje gdzieś jakaś wieczna jaźń?

Stałam obok Dominika zmęczonego po całonocnym locie z Ameryki. Myślałam o kłamstwach ciała i duszy.

Przy kolacji matka zakomunikowała nam swoją decyzję pozostania w Lexington. - Tutaj spędziłam z nim całe moje życie.

Tu czuję się najbliżej niego. Pamiętajcie, przez całe lata John spędzał dni powszednie w Londynie, a tu przyjeżdżał tylko na weekendy. Z przyjemnością będę się z wami widywać w

Lexington w sobotę i niedzielę. To będzie cudowne. Wiecie, ile przyjemności dają mi... dawały nam dzieci. Wiedzieliśmy, że

Alice i Ben, którzy przeżyli z nami wiele lat, zaopiekują się nią dobrze. Wyjechaliśmy z Lexington obiecując, że będziemy

„wracać do domu” na weekendy. Następny tydzień Dominik

musiał spędzić w Ameryce. Miał wrócić z synem. Uznał, że nagły powrót w celu pogrzebienia „dziadziusia” byłby dla Williama,

który został z jego rodzicami, zbyt stresujący. Elizabeth i Charles wyjechali do Frimton.

Ja czekałam w Londynie. Kolejny ruch należał do Charlesa.

## 20

Dwa dni później jego twarz pojawiła się na ekranie domofonu. Zniekształcona, wyglądająca jak w masce. Jak robot na szarym tle. Potem stanął w drzwiach.

- Jak wiesz, mam klucz. Do drzwi wejściowych. I do...

Elizabeth...

- Do jej pracowni.

- Tak. Elizabeth jest we Frimton. Ruth, ja nie chcę umniejszać tego, co zaszło między nami. Nie chcę się tłumaczyć i wyjaśniać. To jest teraz część twojego i mojego życia.

Skinełam głową.

- Ruth, długo zastanawiałem się nad tym, co chcę ci powiedzieć.

- Jestem wdzięczna.

- Ruth, musiałem to przemyśleć. To są poważne sprawy.

- Oboje znamy pełną prawdę. Ale może nie ma już między nami pełnej zgody.

- Nie rozumiem.

- Och, to kwestia definicji. Definicji grzechu.

- Moja żona... moja pierwsza żona była katoliczką. Tak, teraz sobie przypominam. To są ważne sprawy. Cała prawda. I pełna zgoda.

- Właśnie.

- Ale ty, Ruth, nie jesteś katoliczką.

- Nie. Ale religia zawsze mnie fascynowała.

- Rozumiem.

- Zaskoczyłam cię?

- Moja droga, pod każdym względem. Ach, „moja droga”.

- Rozumiem, że potrzebujesz jakiegoś rozgrzeszenia?

- Nie. Nie, chcę ci powiedzieć...

Nic nie mów. Nic mi nie mów, Charles. Ja wiem, czym jest grzech.

- Przekonajmy się. Rozumiem, że przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że „to się więcej nie zdarzy” i żeby mnie przestrzec.

- Obrażasz nas oboje. Pojawiła się szansa na sukces.

- Mamy do wyboru dwie możliwości. To zabrzmiało bardzo chłodno. Bardzo wyrachowanie. Wybacz mi. Mamy do wyboru porządek albo chaos.

- Więc powiedz mi, Charles, czym jest „porządek”?

- Porządek to konieczność wyrzeczenia się. Albo... oszustwa.

- A chaos? Czym jest chaos?

- Chaos to odkrycie czegoś nowego. I ruina naszych rodzin.

- I co jeszcze?

- I ty, Ruth. Doszedłem do wniosku, że dla ciebie oszustwo jest czymś naturalnym.

- A dla ciebie?

- Nie wiem. Na pierwszy rzut oka może też. Nawet bardziej niż dla ciebie. Ale tak naprawdę nie wiem.

- Elizabeth? - zaryzykowałam.

- Ruth, zapamiętaj, jaka jest pierwsza reguła: nigdy nie wspominaj jej imienia, kiedy jesteśmy razem... tak jak teraz.

- Mówisz o regułach?

Reguły gry, obietnice, wzajemne zobowiązanie.

- Tak. Bo widzisz, Ruth, my pasujemy do siebie.

- Może.

Dzieci błądzące samotnie w ciemnościach, dzieci, które nigdy nie były szczęśliwe ani dobre.

Ja, która zawsze wierzyłam, że panuję nad większością spraw, teraz stałam się uczennicą Charlesa Hardinga.

Myślałam, że będzie moją ofiarą. Ale on okazał się bardziej gorliwy, niż sądziłam. Zastawiałam sidła. I wpadłam w pułapkę świata, który sama stworzyłam. W którym on teraz był górą.

Nic nie przygotowało mnie na głód, jaki zaczęłam odczuwać i który nie nasycony zniszczyłby mnie.

Ja również coś dla niego znaczyłam - też miał swoje potrzeby.

Ale umiał wyznaczyć im granice. Ja nie. Poznałam, czym jest strach. Ale nigdy nie mówiłam o tym Charlesowi. Po co dawać broń do ręki swemu panu. I bez tego był dostatecznie silny.

Charles był mocniejszy. Mocniejszy zawsze budzi lęk. „Lepiej, gdy się ciebie boją, niż gdy ciebie kochają”? Najlepiej, gdy boją się i kochają. Czy to możliwe? W istocie jest tak prawie zawsze.

Dlaczego dziecko kocha? Lęk przed porzuceniem, kiedy opieka jest nadal konieczna. Czy tak samo jest z „miłością”? Ale to nie jest to właściwe słowo. Jakiego słowa użyjemy, kiedy jedno ciało żywi się drugim ciałem? Dominik mnie uwielbiał. Widziałam jego lęk. Lęk przed odrzuceniem.

Teraz przyszła kolej na mnie. Na każdego przychodzi jego kolej. Teraz ty - poznasz ból, zdobędziesz wiedzę. Wiedzę, której nie chcesz. Lecz przyjdzie nie chciana. Bo nikt cię w tym nie wyęczy.

Pracownia Elizabeth stała się ważną częścią świata moich żądz.

Raz, tylko raz, poprowadziłam złapanego w potrzask Charlesa za stojące na sztalugach czyste płótna i znieważylam patrzące ślepo błękitne nieba Elizabeth tym, co wśród nich robiłam. W ciszy przerywanej westchnieniami. A jej... rzeczy... stały się jeszcze bardziej częścią świata moich potrzeb.

Z biegiem lat kłamstwo weszło w nawyk. Znosiliśmy to dobrze. Życie spędzane na małych oszustwach uczyniło ze mnie artystkę tej wątpliwej sztuki.

Jak wcześnie nauczył się Charles zdrady? Może przyswoił sobie szybko te umiejętności podczas owego fatalnego romansu sprzed lat? W roku, w którym umarła Felicity.

Może miał do tego wrodzony talent. Za bardzo się go bałam, by wdawać się w zbyt głębokie dociekania.

Czasem zadawałam sobie pytanie, czy on nie obawia się kolejnej tragedii? Czy dobroć i niewinność Elizabeth są dla niego dostateczną obroną?

Nasze szalone spotkania - wiedząc o wszystkim mogliśmy je łatwo aranżować - były jak narkotyk nigdy nie dający zaspokojenia. Jak kręcone schody wiodące do drzwi, których nie umieliśmy otworzyć. Ja prowadziłam. Moja pierwsza obsesja wiodła do następnej.

22

William Garton

Wiek: 12 lat

Opinia kierownika internatu

Semestr letni Klasa IA

William jest poważnym chłopcem. Pod wieloma względami niemal staroświeckim. Mimo to jest na ogół lubiany, chociaż - o czym mieliśmy już okazję rozmawiać - bywał tyranizowany przez dwóch agresywnych kolegów z jego rocznika.

Jak się Państwo przekonacie czytając oceny innych nauczycieli, William osiąga bardzo dobre wyniki w nauce - zwłaszcza w matematyce - co nie jest zaskakujące, zważywszy na zawód ojca! Spodziewamy się, że i po jego powrocie do szkoły we wrześniu będziemy świadkami jego dalszych postępów.

Andrew Brown, kierownik internatu

William traktuje naukę poważnie, a jego zachowanie jest na ogół dobre, tak że pierwszy rok spędzony u nas uznać należy za nader pomyślny.

Pracuj tak dalej, Williamie. Broughton West, dyrektor szkoły  
William ma dobre wyniki w nauce łaciny. To duże osiągnięcie, zważywszy że kiedy przyszedł do nas, jego znajomość przedmiotu była pod wieloma względami niedostateczna.

Carl Donn, nauczyciel łaciny

William robi stałe postępy we francuskim. Zawsze starannie przygotowuje się do lekcji. I zawsze na czas! Dobra robota, Williamie. Jak słyszę, rodzina zamierza spędzić w tym roku jakiś czas we Francji. Może to poprawić jego nieco przyciężki akcent.

Alistair Knight, nauczyciel francuskiego

William jest z matematyki najlepszy w klasie. W niewielkim to stopniu moja zasługa. Talent czy praca? Nie umiem powiedzieć.

Dnncan Heychurch, nauczyciel matematyki

William robi w angielskim niezłe postępy. Uczy się pilnie. Jego prace pisemne są nader solidne i staranne. Moim zdaniem nie ma dobrego stylu. Może powinien nieco więcej czytać?

Przygotowałem listę lektur - którą dołączam - jako propozycję na wakacje. Przykro mi, Williamie!

James Sanders, nauczyciel angielskiego

William uważa na lekcjach. Robi stałe postępy, uczestniczy też w zajęciach grupowych w sposób ciekawy i twórczy.

Michael Moore, nauczyciel geografii

William jest dobry z historii. Ma znakomitą pamięć do dat i nazwisk. Jednak jego pracom pisemnym, choć wiernie oddającym fakty, brak (jak dotąd) polotu.

Brian Johnson, nauczyciel historii



Niestety, William nie ma talentów artystycznych. Zawsze jest miło mieć go w klasie i obserwować jego starania. Nie ustajemy w wysiłkach. Niemniej już na tym wczesnym etapie sędzę, że trzeba będzie pomyśleć o rezygnacji z tego przedmiotu po pierwszej serii egzaminów.

Miles Masterson, nauczyciel rysunków

William gra świetnie w tenisa. Wypadł znakomicie, reprezentując szkołę na ostatnich rozgrywkach z Eton. Pływa wspaniale i ma szanse znacznie zwiększyć szybkość, jeśli złapie lepszy rytm oddechu. W gimnastyce nie jest najlepszy - ale czy musimy umieć wszystko? Moje gratulacje, Williamie, za wygranę dla szkoły 16. mistrzostw w tenisie. Arthur Caldwell, nauczyciel wychowania fizycznego

W ramach pracy semestralnej z projektowania i zajęć technicznych William zrobił wspaniałą komódkę. Wydaje się, że lubi ten przedmiot.

Corin Morgan, projektowanie i zajęcia techniczne

Ogólnie rzecz biorąc, stan zdrowia Williama był w tym semestrze znakomity. Jak Państwo wiecie, chłopiec nieco się jąka, kiedy jest podniecony. Jestem przekonana, że to minie z wiekiem. A zatem zdrowe i pogodne dziecko.

Megan Owyston, dyplomowana pielęgniarka

Dalej następowały daty. Początek następnego semestru. Przyszły czas, ujęty w uporządkowany system.

Poufne

Szanowny Sir Charlesie i Lady Harding, Stephen jest utalentowany i czarujący. Fascynująca i potencjalnie niebezpieczna mieszanka. Mieliśmy już okazję o tym rozmawiać. Już wcześniej dostrzegłem te „dary od Boga”. Incydent w wieży nie jest sam w sobie powodem do szczególnej troski, jednak nie powinniśmy o

nim zapominać. Stanowił, jak sądzę, ostrzeżenie dla nas wszystkich.

Jakkolwiek pan Blake mógł sądzić, że „droga Przesady do pałacu Mądrości wiedzie” etc, historia nie wskazuje, by miał rację. Nie twierdę, że Stephen jest geniuszem. Jest jednak wybitnie inteligentny. Winniśmy pamiętać słowa Drydena: „Wielkie umysły w alians weszły z szaleństwem. Jak wąskie granice dzielą ich królestwo”.

Czuję, że Stephen odnajdzie w sobie spokój tak bardzo mu potrzebny w mniejszym domu, który mamy zamiar przeznaczyć w przyszłym semestrze dla naszych „mędrców”. Prowadzić go będzie małżeństwo Trentów. Może Państwa zainteresować fakt, że pani Trent jest pejzażystką, choć niezbyt wybitną. Oboje są nadzwyczaj życzliwi i wyrozumiali.

Czytając dołączone świadectwo przekonacie się Państwo, że wyniki Stephena są nierówne. Jest wybitny w jednych przedmiotach, w innych wykazuje brak dyscypliny.

Ponieważ udział w spotkaniu, jakie proponowałem przed końcem semestru, okazał się niemożliwy, zależało mi na przekazaniu Państwu mojej opinii w drodze listownej.

Od czasu tragedii, która spotkała mojego syna, z nieco większą śmiałością ostrzegam rodziców przed potencjalnymi niebezpieczeństwami wiążącymi się z tym niezwykle doświadczeniem, jakim jest „wychowywanie” dzieci.

Łączę wyrazy szacunku Broughton West, dyrektor  
Odnalazłam ten list wiele lat po tym, kiedy został napisany.  
Elizabeth odchodząc nie zabrała niczego.

Wspomnienia. Niewyraźne głosy przeszłości. Przecież nie istnieje pamięć w stanie czystym. Każde wspomnienie nabiera barw życia później przeżytego.

Czy oddają prawdę sprzed lat młodzieńcze głosy, które zdają się dziś rozbrzmiewać w tym pokoju? Czy była prawdziwa nuta gniewu w wyzywającym śmiechu Stephena? Kiedy stał tam przepytany przez Charlesa o „incydent w wieży” i zaprzeczał oskarżeniom o brawurę i brak odpowiedzialności? I William stający zapalczywie w obronie swojego bohatera - czy jego niewinne uwielbienie było aż tak silne?

Być może odgrywając melodie z przeszłości dajemy się uwieść duchom muzyków. Spojrzałam na nich. Jakby kosmyk moich włosów wplątał się w instrumenty, na których zdawali się grać - i znalazłam się w minionych czasach. Usłyszałam głos Williama: „- Wujku Charlesie... mówię szczerze, spróbuj to sobie wyobrazić... Stephen stojący wysoko nad nami na parapecie. Och, wujku, on był taki odważny! I Hendricks... ten wstrętny, podły, znęcający się nad słabszymi Hendricks schwytyany w pułapkę tam na dziedzińcu i Stephen wołający:

**PRZYJACIELE, BOLDOŃCZYCY, PRZEWODNICZĄCY  
KLAS, SŁUCHAJCIE MNIE!**

**JESTEM TU NIE PO TO, ŻEBY CHWALIĆ HEND-RICKSA,  
ALE ŻEBY GO ZAWSTYDZIĆ. BÓL, JAKI SPRAWIAJĄ  
TACY DRANIE, TRWA DŁUŻEJ.**

**ZA ICH PRZECHWAŁKAMI CZĘSTO KRYJE SIĘ  
TCHÓRZOSTWO.**

**NIECH W PRZYPADKU HENDRICKSA WYJDZIE ONO NA  
JAW.**

A potem, wujku Charlesie, przewodniczący rady uczniowskiej Oldham zawołał: «Harding! Co ty do cholery tu robisz? - Oldham, chcę zwrócić twoją uwagę na niesprawiedliwość i tyranizowanie słabszych\*.

Och, wujku Charlesie, byłbyś dumny ze Stephena. Pozwól, że opowiem ci dalej. Proszę!

- Dobrze, Williamie. Mów dalej, mów dalej.

Charles z westchnieniem skinął ponuro głową Williamowi, który rozgorączkowany kontynuował swoją opowieść odgrywając, jak w teatrze, kolejne kwestie. Stephen przestępował z nogi na nogę zażenowany, ale skrycie ucieszył się tym peanem na cześć własnej odwagi.

- «Harding, jesteś cholernym juniorem... Nie jesteś tu po to, żeby mi zwracać na cokolwiek uwagę. - Oldham, czy dobrze słyszysz? Czy ty nie jesteś człowiekiem honoru? - Zejdź, Harding, zejdź w tej chwili. - Czy przewodniczący klas stracili rozum? Trochę cierpliwości, Oldham...»

A potem, wujku, wszyscy chłopcy tupali i wiwatowali, a Stephen uklonił się nam i zszedł na dół."

Głos opowiadającego przycichł i naraz zamilkł zupełnie.

Siedziałam chwilę bez ruchu. Potem wzięłam do ręki świadectwo Stephena z semestru letniego. Miał wtedy czternaście lat.

Stephen Harding Semestr Wiek: 14 lat letni

Klasa 3A

Stephen jest, mówiąc krótko, typem uczonego. Odkąd pojawił się u nas, był zawsze najlepszy w klasie. Jego prace nie nastroczały mi nigdy żadnych problemów - ani pod względem przygotowania, ani prezentacji. Z rozmów w pokoju nauczycielskim wiem, że nie wszyscy mają z nim podobne doświadczenia. Niemniej inni chłopcy nie mają mu za złe jego zdolności. To jedno zdanie mówi wiele o Stephenie i jego uroku osobistym. Nie mogę doczekać się, kiedy znów podejmiemy naukę.

Carl Donn, nauczyciel łaciny Stephen ma naturalne zdolności do greki. Łączy zamiłowanie do języków klasycznych z temperamentem artysty. Oczekujemy dalszych postępów!

Xavier James, nauczyciel greki

Stephen jest wybitnie zdolnym uczniem, zwłaszcza w dziedzinie literatury francuskiej. Obecnie jest zafascynowany

Baude-laire'em, choć czuję się w obowiązku poinformować, że jeśli chodzi o tego autora, wykroczył daleko poza program szkolny. Cyniczny kontekst użycia przez Stephena cytatu

„*cahne, luxe et volupté*” w klasówce na temat „atmosfery domu”

sprawił, że tajemnica wyszła na jaw! Zabroniłem mu wprost lektury *Les fleurs du mal* - jestem pewien, że z tą decyzją zgadzacie się Państwo w pełni. Miejmy nadzieję, że nie ostudzi to jego zapału do francuskiego.

Alistair Knight, nauczyciel francuskiego

Wypracowania Stephena to w istocie „nowelki” zdradzające niebywałą dojrzałość. Jego raczej ekstrawaganckie poczucie humoru łagodzi posępny nastrój niektórych prac.

James Sanders, nauczyciel angielskiego

Żaden z niego matematyk. Cóż mogę więcej powiedzieć?

Robimy, co możemy, żeby przyswoić mu wbrew wrodzonym zdolnościom podstawowe zasady matematyczne, zwykle bez powodzenia. Proponuję po pierwszej serii egzaminów całkowicie zrezygnować z tego przedmiotu. Nie daje to nikomu korzyści. Stephen jest jednak bardzo sympatycznym chłopcem i jak na ironię jego obecność w klasie jest dla mnie zawsze powodem do radości.

Duncan Heychurch, nauczyciel matematyki

Nie jest moim zdaniem dobrze, że Stephen tak rozmiłował się w jednych przedmiotach, że inne zdają się go nudzić. Geografia jest ważna. Raz tylko udało mi się przyciągnąć jego uwagę - dyskusją na temat „geografia to także historia”. Potem napisał znakomite wypracowanie. Pozwoliłem sobie przedstawić je do tegorocznej nagrody Ovingtona. Jeżeli wygra, będzie to wielki zaszczyt dla szkoły, choć niekoniecznie wpłynie to na „poprawę charakteru” Stephena. Znany dylemat.

Michael Moore, nauczyciel geografii

Stephen lubi historię i należy niezmiennie do trójki najlepszych. Jego prace pisemne robią wrażenie tyleż z racji stylu, co treści - rzadka zaleta wśród historyków! Miło jest mieć go w klasie, bierze też czynny udział w dyskusjach.

Alex Dunnington, nauczyciel historii

W naukach przyrodniczych Stephen ma wyniki dostateczne, choć raz czy dwa jego zachowanie się w laboratorium mogło spowodować zagrożenie. Musi wyrobić w sobie spokojniejsze, bardziej rozważne podejście. Może przeniesienie

do domu państwa Trentów da efekty niezbędne w przypadku tych przedmiotów.

Colin Thoniton, nauki przyrodnicze

Stephen wypada powyżej średniej. Jednak nie przykłada się do pracy w stopniu, w jakim można by tego oczekiwać. Mimo to niezmiernie fascynuje jego niepokojący dobór kolorów i ciekawy sposób widzenia nawet najprostszych przedmiotów. Umie nas wszystkich zaskakiwać - to znaczy na polu sztuki.

Miles Masterson, nauczyciel rysunków

Stephen osiąga w szkole wyniki zadowalające. W tenisa gra dostatecznie - wydaje się, że nie przykłada się do ćwiczeń, może jest onieśmielony sukcesem kuzyna Williama. Skłonność Stephena do astmy sprawia, że pływanie nie jest jego ulubionym sportem. Będziemy dokładać starań, choć, obawiam się, woda nie jest jego naturalnym żywiołem.

Artur Caldwell, nauczyciel wychowania fizycznego

W tym semestrze Stephen miał dwa łagodne ataki astmy. Coraz lepiej zdajemy sobie sprawę z psychosomatycznego podłoża tej choroby. Im bardziej Stephen będzie „wyciszony”, tym lepiej mu to zrobi. Popieram przeniesienie do domu Trentów. Od dawna to zalecałam.

Megan Owyston, dyplomowana pielęgniarka

Odłożyłam do drewnianego rzeźbionego pudełka świadectwo, które znałam niemal na pamięć, i wyjęłam pomięty artykuł sprzed lat zatytułowany:

*Artysta i jego czas*

Czy jest winą artysty, że jest niemodny? Każdy twórca żyje w swojej własnej „nowoczesności”. Czy nie szukamy po prostu punktów zwrotnych, w nieustannej nadziei że wpro-



wadzając łatwą historyczną periodyzację oswoimy to, co jest w istocie bezczasowe? Spontaniczność artysty.

Stawiam te może kłopotliwe pytania, pani Elizabeth Ashbridge jest bowiem zjawiskiem najbardziej kłopotliwym - niemodną artystką. W ostatnim dziesięcioleciu miewała od czasu do czasu wystawy, które rzadko doczekały się recenzji. Zapewne była to zrozumiała decyzja redaktorów, którzy woleliby pisać o „modniejszych” malarzach. Twierdzą jednak, że choć pani Ashbridge nie jest twórcą nowoczesnym w potocznym tego słowa znaczeniu i choć brak jej nowatorskich pierwiastków (które były zawsze znamieniem geniuszu) - zasługuje ona na jak najszersze uznanie.

Wizerunki nieba, najczęściej angielskiego, będące jej obsesją, przenika coraz silniejsza nuta żalu. Jakby coraz wyraźniej i boleśniej odczuwała napięcie między ograniczeniem naszej egzystencji i bezmiarem wolnych przestworzy. Porównajmy jej wczesny, pełen uroku *Blues Londynu* z surowością *Lotu*. Samotna, strzępiasta chmura zdaje się uderzać o brzeg płótna, jakby desperacko chciała uwolnić się od surowego, niemal wypalonego błękitu. Wtedy zrozumiemy, dlaczego skrajną naiwnością jest odrzucenie dzieła pani Ashbridge, miernej „artystki”, która „ma bzika” na punkcie nieba.

Jej płótno *Ateny raz jeszcze* stanowi znaczący krok naprzód w stosunku do *Aten rano*. Ta ostatnia praca powstała, jak sędzę, podczas miesiąca miodowego, który pani Ashbridge spędziła z Hubertem Baathusem. Pan Baathus zginął tragicznie w pierwszych latach ich związku. Polecam też *Niebo w atelier*. To niezapomniane dzieło - artysta jest jakby zamknięty w swojej pracowni i jak Oskar Wilde stara się schwytać „ten mały namiot z błękitu, który więźniowie nazywają niebem”.

Wiele innych znakomitych obrazów rozmieszczono ze  
znawstwem na ścianach małej galerii Adriana Carendona przy  
Mount Street. Polecam.

Brannington Orchard, krytyk sztuki

Opinie obcych. Opinie mieszkańców odległych krajów.

Przeszłość.

23

Wiem.

- Co wiesz, Dominiku?

- Ruth, ja wiem. Milczenie.

- Wiem.

Znowu. I znowu milczenie. Milczenie to zgoda. Zgoda na prawdę, której powinnam mu była odmówić.

Wiem. Ciężka sprawa. Czy miałam powiedzieć „przepraszam”?

Znowu kłamać? Wybrałam strategię tchórza. Milczałam.

- Ruth.

Odstawiłam kieliszek. Jedliśmy kolację.

- Słucham.

- Czy ty słyszałaś?

- Tak, oczywiście.

- I nie chcesz wiedzieć, jak się dowiedziałem?

- Nie.

Chcę tylko mieć pewność, czy ty wiesz, kto to jest.

- Mam tylko jedno pytanie.

- Tylko jedno?

- Tak. Czy będziesz mówić dalej? Milczenie. Och, jakim ja jestem tchórzem.

- Widzę, Ruth, że jeszcze raz stanęłaś na wysokości zadania. Czy ten sarkazm ma oznaczać, że będzie mi „darowane”? Czy o to chodzi? To łatwe. Wygrałam. Mogę się przestać martwić. Jestem kochana. I sama kocham. Czy to moja wina, że nie tego, który kocha mnie? Że przyjął dar, który powinnam była odrzucić? Ale wtedy on byłby nieszczęśliwy. Może nie. Gdybym od samego początku postępowała uczciwie. Jakie to trudne dylematy, Ruth. I jak drogo trzeba będzie zapłacić. Słuchaj, Ruth. Słuchaj tego człowieka.

- Jestem nierozłącznie z tobą związany. Kocham cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem.

Czy miłość trafia przez oczy? Sądziłam, że to raczej pożądanie rodzi się z doznań wzrokowych.

- Byłaś w pewnym sensie doskonała.

Jak matematyczna formuła. Mam chyba miłe dla oka proporcje. Rozmiary 36-24-36. Wyrysuj to sobie. Dodaj jakieś ubranie, albo jak nie chcesz, nie dodawaj niczego. I uzupełnij twarzą.

Płaszczyny, i zagłębienia. Użyj ciemnego brązu dla oczu, czerni dla brwi. Idealnie gładka skóra w nasyczonej kremowej tonacji. I wargi, krwistoczerwone. Takie, jak lubicie. U dołu nogi, bardzo zgrabne. Długie i smukłe. Czy taka jest geometria jego klęski?

Więc dlaczego Charles się opiera? Nie, nieprawda. Ależ tak. Nie sposób uciec od tej prawdy. Jestem tą drugą. Dodatkowo. Do Elizabeth. Znowu. Jak sądzisz, czy on był bezstronny?

Dominik mówił, a ja starałam się słuchać. Wiedziałam, że to ważne. Próbowałam. To obowiązek. On cierpiał. Ból osamotnienia. Samotność bólu. Wsłuchiwałam się w jego ból. To nie jest łatwe. Tak rzadko to robimy. Z całą pewnością nie mogłam czuć tego, co on. Bólu drugiego człowieka. Dlaczego

każdy chce się dzielić własnym cierpieniem? Nie ma żadnych ulg. Jeśli ja podzielę twój ból, on się nie zmniejszy wskutek tego. Chyba o tym wiesz, Dominiku? Twój ból pozornie umniejszony o moją szczerą - tak, szczerą - troskę nie będzie słabszy. A w końcu twoje cierpienia znudzą mnie. I zechcę -ot tak, dla odmiany - stać się ofiarą. Wsłuchując się w ból nagle zapragnęłam doznać przyjemności. Jakiegokolwiek przyjemności. Żeby poczuć ulgę.

- Byłaś jak błysk światła. Inteligencja. Szybkość.

Szybkość światła? Czy wiesz co mówisz, Dominiku? Jak dobierasz słowa pochodzące z własnej interpretacji tego świata?

- Widzę, jak odwracasz się... w miejscu. Jakby... do mnie. Stojąc na piedestale?

- W moich wizjach ty... zawsze zwracasz się w moją stronę. Czy to nie ironia? Słuchaj!

- I w tej wizji ty, ile razy wyciągałem do ciebie rękę, odwracałaś się do mnie. Bo tak bardzo tego chciałem. Nie odchodziłem.

Czy zapamięta taki mój wizerunek? Jak ktoś, kto zakochał się w twarzy kobiety stojącej na odpływającym statku? Tylko w twarzy. I pozostał jej wierny? Mogłam stać się zapamiętaną twarzą. Nie sprawiać bólu. Takie niewinne doznanie. Twarz, którą darzyłeś miłością. Z oddali.

- Myślałem... Ruth. To ona. To jest Ruth. I tak było zawsze. To takie proste.

Powinłam była, Dominiku, pozwolić ci mówić dalej. Powinłam wiedzieć, że mam do czynienia z idealistą. Zakochanym idealistą. To gorsze niż romantyk. Och, nieskończenie gorsze. Zawsze wiemy. Lojalny. Godny zaufania. Rzadki, lecz niezbyt ceniony przypadek. Niewielu da się nabrać.

- A teraz nie wiem, co robić. To po prostu niemożliwe...

Tak, profesorze. Masz problem. O tak. Co zrobić z własnym... bólem. Z miłością. Jej nadmiarem.

Czy lepiej byłoby przedstawić to w procentach? Ilościowo? Dynamika cieczy? Porównania? Statystyki? Geometria? Może algebra? Jeśli  $x = ?$  to... Nie wiem. Nie jestem matematykiem. Jedynie podchwyciłam pewne sformułowania. Nadmiar miłości przekracza punkt krytyczny. Co robi się z nadmiarem miłości? Dodaje się nowy składnik? Gorycz? Coś dla kontrastu? Może nienawiść?

- Zniszczyłaś naszą przeszłość, wydaje się, że prowadziła w prostej linii do tego, co jest teraz.

Jego przeszłości nie można było przewidzieć. A co z przyszłością?...

Ginie w cieniu, który pada na ścieżkę. Potkniemy się, jeżeli będziemy dalej iść tą samą drogą.

- Ruth, nie chodzi o to, że nie potrafię przestać cię kochać. Nigdy

nie przestanę. Po prostu brak mi odwagi, żeby patrzeć na ciebie cały czas i wiedzieć to, co wiem.

- Nie.

- Jestem tchórzem.

- Nie.

- Boję się ciebie... rano... to znaczy...

Nawet mnie brakuje słów. Dominik mówi dalej:

- I boję się... innych... rzeczy.

Naga siła. Nocą. Czasem rano. Nagie poranki. Poranna siła.

- Nawet tej ukrytej słodyczy w tobie, kiedy dotykasz Williama albo mówisz do niego. Myślę, że boję się... własnego strachu.

- A więc?

- Po prostu odejdę. Odejdiesz? Dokąd? I do czego?

- Będę żył bez ciebie. Nie mogę... nie umiem żyć z tobą.

O Boże. To będzie bardzo trudne. Co powie Charles? Myśl, Ruth.

Myśl. Możesz go stracić. Stracić Charlesa. Dominik ciągnie:

- Elizabeth rezygnuje ze swojej pracowni.

Elizabeth. Co ona tu robi? W tym pokoju? W tej rozmowie?

- Co mówisz?

- Widzę, że wreszcie zwróciłaś na mnie uwagę. Charles zamierza bywać rzadziej w Londynie. Buduje specjalnie dla niej pracownię we Frimton.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ rozmawiałem z Charlesem.

- Kiedy?

- Parę dni temu. Myślał, jak sądzę, że będzie bardziej stosowne porozmawiać ze mną na ten temat.

Bardziej stosowne? Rozmowa z Dominikiem? O nowych „koncepcjach”?

- Czy rozmawialiście przez telefon? - Freud nienawidził telefonów.

- Czy to istotne?

- Nie.

Chcę tylko wiedzieć, jak zostałam zdradzona. Bo to była zdrada. Sądziłam, że w moim świecie - świecie z nim - jestem hermetycznie odizolowana od otoczenia. Żadnych intruzów. Żadnych nieproszonych gości. Wstęp wzbroniony. Pomyślałam ze zgrozą, że mogę zostać odsunięta na margines. Poczułam siłę, która mogła zatrzymać mnie tam na zawsze. I jeszcze większą siłę, która mogła zepchnąć mnie w wieczną przepaść. Nie pozwolę, by tak się stało. I chociaż wiszę nad przepaścią, jeszcze w nią nie spadłam. Jeszcze nie.

- Straciłem cię, całkiem cię straciłem.

- Co mówisz?

To niefortunne słowa. Nie chciałam ich słyszeć. Nie chciałam nauczyć się ich wymawiać.

- Ruth, proszę. Słuchaj mnie, proszę.

- Tak... Tak.

- Jeśli przeniosę się do pracowni Elizabeth, będę mógł widywać Williama w znajomym dla niego otoczeniu. To będzie mniejszy wstrząs.

- Tak.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Zbierz myśli, Ruth.

- Nie. To nie wszystko. Myślę, że podjąłeś... złą decyzję. To złe posunięcie. Nie rób tego.

- Zdziwiasz mnie, Ruth. Ty jesteś... w pewnym sensie... nienormalna.

- Myślałam, że przysiągłeś mi wierność po wszystkie czasy.

- Nie pamiętam, żebym tak mówił.

- Masz rację, Dominiku. Powiedziałeś chyba, że będziesz mnie zawsze kochał. Coś w tym rodzaju.



No dobrze, Ruth. Podejmij decyzję. Szybko. Co będzie lepsze? Kazać Dominikowi zostać? Czy pozwolić mu odejść? Co będzie lepsze? Dla twoich stosunków z Charlesem. Dla zagrożonego... nagle... związku. Co będzie najlepsze? Zatrzymać Dominika. Tak będzie o wiele lepiej. Oparcie. Trzeba mieć oparcie, kiedy się prowadzi podwójne życie. Inna możliwość byłaby zbyt oczywista. Niezameężna kobieta i żonaty kochanek. Nie. Zatrzymać Dominika. On chce zostać. Ta dziecinada o przeniesieniu się do pracowni... to nie ma sensu. Żałosne uwagi na temat Williama. William jest w szkole z internatem. Wakacje i przerwy między semestrami spędza w Lexington. Głupi Dominik. Głupi? Dominik? Czy to brzmi właściwie?

Więc spraw, żeby został. Bądź przebiegła. Działaj powoli. Pokaż, jak pięknie się ruszasz... tak jak to potrafisz... idź w stronę barku z drinkami. Teraz odwróć się. Jesteś trochę smutna. Ale rób to powoli. Pozwól, żeby wszystko ulotniło się z twojej twarzy, a wtedy, jak wiesz, pozostanie tylko zmysłowa, jedwabista karnacja. Obserwuj jego twarz. Pojawia się nieznaczne drżenie. Skup na nim wzrok. Po prostu patrz. Ale ostrożnie. Bądź ostrożna, Ruth. Nic nie mów. Milczenie. To niezbędne dla koncentracji. Koncentracji twojej woli. Żeby osiągnąć efekt, o jakim myślisz.

Teraz. Podaj mu drinka. Stój blisko. Nie poruszaj się. Musisz być w jego zasięgu. Inaczej nie będzie mógł tego zrobić. Oddychaj głęboko, tak żeby piersi poruszały się w znanym ci rytmie. Teraz go zostaw. Czujesz, jak rośnie jego napięcie. Podejdź do sofy. Połóż się na wznak. Westchnij. Ze smutkiem. Pozwól, by noga opadła na podłogę i suknia się podwinęła. Troszeczkę. I patrz na niego. Zbliży się. Spraw, żeby patrzył na ciebie. Nie spuszcza z niego oczu. Bądź smutna. Już jest. Pochyla się. Za chwilę... własne ręce zdradzą go. Rozpacz. Znow szukają drogi do celu. I już po wszystkim. Zwyciężyłam. Leżę na plecach. Dominik nie odejdzie. Nie teraz. A innym razem?

Przepraszam. Miałem zamiar ci powiedzieć. Charles i ja. Czas razem spędzony. Regularne spotkania, w moim domu. To takie łatwe, kiedy „inni” darzą nas zaufaniem. I kiedy zna się wszystkie plany „innych”. Gdzie są. Kiedy wrócą.

- O czym chciałeś mi powiedzieć?
- O mojej rozmowie z Dominikiem. Na temat pracowni.
- Och, to bez znaczenia. Rozmawiałam o tym z Elizabeth dziś rano. Rozumiem, że budujesz dla niej we Frimton pracownię. I że będziesz rzadziej bywał w Londynie - mówiłam chłodnym tonem.
- Tak. Milczenie.
- Jeśli będę mógł.
- A jak sądzisz?
- Chcę spróbować - powiedział zdecydowanie.
- Dlaczego?
- Nagle odkryłem w sobie potrzebę...
- Tak?
- Potrzebę robienia tego, co słuszne. Bez względu na trudności.
- „Namiętność do rzeczy trudnych”.

- Może.

Nie zgodzę się na to! Nie mów tego. Zachowaj spokój.

- Charles, jesteś moją jedyną szansą na... bycie lepszą.

- Ruth!

- Tak. Nigdy cię nie wydałam.

- Przed Elizabeth?

- Tak.

- Nigdy tego nie zrobisz. To rozkaz. Bądź posłuszna.

- Oczywiście, że nie.

Patrz uważnie. Szukaj oznak... słabości. Braku zdecydowania.

- Posłuchaj, Charles. Między nami starałam się... myślę, że byłam... wierna.

Wierna czemu? Temu, co zrobiłam. Wierna tobie. Wierna temu, co ukrywasz.

Odwrócił wzrok. Znałam tajemnicę jego duszy. Kryła się w ciele. Co zrobi, kiedy będzie musiał je zabić? Czy będzie umiał? Jest niebezpieczny, dla mnie. Jest silny. Może mu się uda. To będzie dla mnie koniec. Podarunek dla Elizabeth. Jeszcze jeden. Czemu nie? Nie, w tej grze ja wygram. Muszę wygrać. Może łyż? Nie, to płynne kłamstwo. Rozedrze mnie "na strzępy.

Spojrzał na mnie.

- Dominik... nie zdecydował się na pracownię?

- Nie. Zamierzaliśmy przerobić ją na gabinet dla mnie. Ale to nie jest konieczne. Równie dobrze mogę pracować w domu.

Ruth, spróbuj zachować się normalnie. Powstrzymaj go.

- Pracować? Nad czym?

- Zamierzam przygotować antologię... *Odrzuceni*.

- Co masz na myśli?

- Och, zrobię przegląd przypadków, w których wielcy twórcy spotkali się z odmową. Interesujący pomysł, nie sądzisz?

- Dobry tytuł.

- Tak. Znakomity.

Uśmiechnął się lekko. Dobrze. Dobrze, Ruth.

- A Dominik?

- Dominik... jest zadowolony.

- Myślę, że on wie.

- Wie? Nie, Charles.

- On tak jakoś na mnie patrzy... Nie. On nic nie wie. Nie wie o tobie.

Charles rozluźnił się. Rozumie. Zamierza wypowiedzieć zgubne słowa. Powstrzymaj go. Musi przedtem uzbroić się w męstwo.

Powstrzymaj go.

- Szaleję... Charles.

- Szalejesz?

- Szaleję za tobą.

I nagle zapłonął między nami ogień. Ogarnął Charlesa. Podsycałam płomienie włosami, pierściami i biodrami. Przetoczyłam go, drżąc, w spokojną ciemność.

Kiedy było po wszystkim, pojawił się gniew. Jego straszny gniew. Inne, wewnętrzne szaleństwo. Złość na siebie samego.

Potem na mnie. Dostrzegłam ją w jego oczach. W cierpkim grymasie ust. Ruszył w stronę drzwi. Wyglądał, jakby przybyło mu lat.

Zaczął mówić, nie odwracając się do mnie.

- Ruth, jest tylko jeden sposób. Nigdy więcej nie zostanę z tobą sam na sam. Nigdy. Jeżeli tak się stanie, wyjdę natychmiast.

Muszę, Ruth. Ty jesteś...

Zakrył dłonią usta, żeby nie wydostały się z nich słowa, których nie chciał wymówić.

- Okazją do grzechu?

Dłoń opadła, zaciskając się w pięść.

- Tak zrobię, Ruth. Tak właśnie zrobię.

Idź do diabła! Idź do diabła, Charles! Ruth, nie mów nic. Będziesz próbował, prawda? Teraz to widzę. Ale ja nie zamierzam ci pomóc. Nic a nic. Nie pomogę ci. Użyję każdego sposobu, żeby ci przeszkodzić. I pamiętaj. Jestem tu. Czekam. Obserwuję cię. Zawsze gotowa.

Oparł się o drzwi. Był tak wielki... zakrył je sobą. Tak, jak zakrywał bez trudu moje ciało. O mój Boże! Potem wyszedł. Pokój, pokój Dominika, wypełnił mój niemy krzyk. Musnęłam palcami globus. Idealnie sferyczny przedmiot, jak wypięty brzuch... ścisnęłam własny brzuch. Na skórze o cieplej barwie miodu pojawił się ciemniejszy znak. Siny, chłodny kolor. Poczulałam dreszcze. Owinęłam się czerwonym wełnianym szalem. W rozgrzewającym kolo-

rze krwi. Krążąc po moim więzieniu odmierzałam krokami mijające godziny. Potem przypomniałam sobie o pewnym nadal obowiązującym układzie, jaki zawarłam z rzeczywistością, którą stworzyłam. I której istnienie będę, niestety, musiała podtrzymywać.

Poszłam do łazienki, żeby przygotować się na powrót męża.

Tej nocy i następnego rana nie odezwałam się do nikogo.

Kobiety potrafią łatwo zadbać o powierzchowność - pozór będący kluczem do rzeczywistości. Chociaż w Anglii muszą być ostrożne. W Anglii bowiem bardziej przyjęte jest żywić ciało, niż je ubierać. Niemniej do żadnej z tych rzeczy nie przywiązuje się nadmiernej wagi. A przecież, jak wszyscy inni, potrafimy odczytywać sygnały - wełniany bezrękawnik może mieć równie duże znaczenie jak błękitna kamizelka, w którą Goethe ubrał, na jego zgubę, młodego Wertera.

Wiele godzin później czekałam na Dominika ubrana w prosty, lecz idealnie dobrany strój. Miałam na sobie ciemnoniebieską sukienkę z paskiem. Perły. Również ciemnoniebieskie, skórzane pantofelki. Wyszczotkowałam włosy, przywracając im naturalny połysk. Na twarz nałożyłam tonizujący krem i staranny subtelny makijaż - oto, jak wygląda piękna żona.

To, że miotałam się jak zwierzę po pokoju, że zostałam zraniona najdotkliwiej jak można, że pozwoliłam, by myśli o przemocy i okrucieństwie wyrwały się spod zwykłej kontroli, że całe moje życie zwinęło się w męce i pękło - wszystko to było ukryte pod maską pozorów.

Byłam bowiem dumna. I spotkałam się z odrzuceniem. Mnie się nie odrzuca. Nigdy. Nie w tych sprawach.

Świadomość tego, że nieustannie zdradzam Elizabeth, nie była niemiła. Czekałam uzbrojona w wiedzę, którą mogłam wyjawić bądź zachować dla siebie. Szepcząc bezgłośnie podczas

weekendów i kolacji. Tylko do samej siebie. Dawało mi to wielką satysfakcję. A teraz miałam i to stracić. Nie wiedząc o tym pokonała mnie. Elizabeth. Kradnąc coś, co należało do mnie. Bo on z całą pewnością należał do mnie.

Wiedziałam, jak cierpi. Czy mógł to znieść? Może przez chwilę. Czy nawyk wstrzemięźliwości utrwali się? A może weźmie górę rozpacz? Będzie błagał. Tak jak ja błagałam jego. W milczeniu.

Musiał czuć, jak coś kołacze się o wały obronne jego ciała.

Czy będę go prosić? Nie. Mniej by mnie wtedy pragnął. Znałam go. W tego rodzaju przedsięwzięciu najważniejsza jest znajomość przeciwnika. Odmówił mi tego, co do mnie należy. A więc jest moim przeciwnikiem. Nie okażę słabości wrogowi.

Nigdy. Duma. Siła. Cierpliwość. Ziarna zasiane w nim rosły we mnie. Przyjdzie, żeby zebrać plon.



Na cały miesiąc, trzydzieści dni, Charles Harding pozbawił mnie nawet swego widoku. Coś - nie znajduję na to słów - zdawało się trzepotać we mnie i zamierać. Nie kończące się, codzienne umieranie w jakimś zakamarku mojego ciała. Gdzieś po lewej stronie. Myślę, że stamtąd emanował ból.

Weekend w Lexington został odwołany. W piątek rano. Nadmiar pracy. Dzwoniła Elizabeth. Jej szczerze przeprosiny dźwięczały echem w pustych komnatach mojego umysłu. I w Lexington. Nie zostaliśmy zaproszeni do Frimton Manor.

Powinnam coś wymyślić. Musiałam go zobaczyć. Jaki podstęp mógł doprowadzić do spotkania? Posłużyłam się najłatwiej dostępnym, a potężnym instrumentem. Moją rodziną. Przede wszystkim synem.

Zadzwoiłam do Elizabeth. Właściwe słowa płynęły mi potoczyście z ust. Zwroty w rodzaju „rodzinne spotkania”, „chłopcy”, „tak blisko”, „wszyscy razem” i wreszcie „samotność matki”. Elizabeth przyjęła z entuzjazmem propozycję rodzinnego spotkania w Lexington w połowie semestru. Usłyszałam, jak wyprosiła zgodę u Charlesa.

A może sam w sekrecie tego chciałeś? Przyjechać do Lexington? Zobaczyć się ze mną? Schwytany w słuchawkę telefonu odległy głos odpowiadający na pytania Elizabeth wybijał rytm pożądania na mojej skórze. Jednak zdołałam zapanować nad uczuciami i nie sprawiłam sobie zawodu.

Jesienne ferie w Lexington. Jezioro pokryte kożuchem liści. Zimowe kolory, brąz, złoto, rubinowa czerwień. I niebo wyniosłe, chłodne, sławiące srebrzysty błękit. Gniew wyrył na mojej twarzy piętno wyniosłości i chłodu w kolorze srebra.

Charles był jak osaczone zwierzę. Wiedział, że wpadł w pułapkę. Bo musiał w nią wpaść. Bo chciał? Kiedy zebraliśmy się wszyscy w głównym salonie, postanowiłam, że będę bezlitosna.

Niech cię cholera weźmie, Charles. Żeby myśleć o ucieczce.

Niech cię diabli. Albo będziesz mój, albo wolę, żebyś nie żył.

Kiedy zobaczył mnie, wzdrygnął się dziwnie, jakby jego wielkie ciało przeszył nagły dreszcz. Podeszłam, stając rozmyślnie obok niego przy barku.

- Jesteś nieszczęśliwy jak diabli, prawda, Charles? - wyszeptałam. - Mam nadzieję, że jesteś.

- Jest jaki?

- Szczęśliwy, spędzając więcej czasu we Frimton.

- Zawsze się cieszę, mogąc przebywać częściej z Elizabeth.

Zemsta.

- A ja z tobą, Charles. A ja z tobą - powiedziała Elizabeth.

- Szczęśliwa para.

Czy dosłyszeli nutkę ironii w twoim głosie, Dominiku?

- Tak samo jak my - uśmiechnęłam się do niego.

- Aha!

- Dominiku, czy ostatecznie rezygnujesz z pracowni?

- Tak. Naprawdę jej nie potrzebujemy.

- Cieszę się. Myślę, że nie chciałabym jej sprzedawać. Byłam tam taka szczęśliwa. To było urocze schronienie.

Pamiętałam jej schronienie. Ja i jej mąż. Spleceni w zawiłym tańcu namiętności. Ręce, nogi, ciała zgięte tak, by nie uszkodzić obrazów. Mogę ją teraz zniszczyć za jednym zamachem. Czy mam to zrobić? Ale wtedy utracę go na zawsze.

- Masz znakomitą recenzję w „The Daily”... napisał ją

Branning-ton Orchard. Pomyślałam, że będziesz zachwycona.

- Dziękuję ci, Dominiku. Nie dociera do mnie wszystko, co różni

ludzie piszą o moim malarstwie. Nawet ci, którzy są mi przychylni. Malarstwo to coś, co po prostu muszę robić. Z coraz większym zaangażowaniem.

Artystyczny przymus. Nawet najmierniejsi artyści czują potrzebę rozwijania swojego miernego talentu, a rozwojowi temu często towarzyszą przejawy złego humoru.

- Czy naprawdę musisz, Elizabeth? Jedynym Bogiem jest Sztuka? *Ego te absofoo* zawsze w Jego ustach?

Moją duszę przepelniała gorycz. Moją duszę? Przez lata karmiłam ją wiktem, który sprawił, że dawno temu uciekła, mała i głodna, od składanych jej gorzkich ofiar.

- Nie przypuszczam, Ruth, żebyś naprawdę miała to na myśli - odrzekła Elizabeth. - Wiem, że to staromodny pogląd, ale wierzę, że sztuka powinna służyć dobru.

- Dominiku, powinieneś wymyślić jakiś wzór na dobro. Jeżeli  $x$  to życzliwość, a  $y$ ... równa się... Pomyślmy. Tak naprawdę nie ma wielu słów, które instynktownie kojarzymy z dobrocią... prawda, Charles?

Posłałam mu uśmiech. Spojrzał na mnie pustym wzrokiem i odwrócił spojrzenie.

- Odwaga? - zaproponował Stephen.

- Wspaniale, Stephen - zwrócił się z ulgą do pasierba.

- Ale i źli ludzie często bywają bardzo odważni.

- Sprawiedliwość?

- Owszem. Widzę, że podobają ci się pogańskie cnoty. Słuchaj mnie, Charles.

- Pogańskie cnoty, ciociu Ruth? - Stephen spojrział na mnie z zachwytem wzrokiem pełnym fascynacji.

- Tak. Cnoty, które istniały przed Chrystusem. Surowe, męskie cnoty. - Przemawiałam twardo, wymagały tego słowa, które wypowiadałam.

- Dobrze, mamó - wtrącił William - jakie cnoty mamy Stephen i ja, pogańskie czy chrześcijańskie?

Uwielbiam sposób mówienia Williama. Jest taki łagodny. Drugi Dominik. Dominik przeważa. Stephen spojrział na Elizabeth.

- Obaj jesteście dobrymi chłopcami.

- Ach. Aaaach. O Boże, mamó. Nigdy nie mów tego przy ludziach, nawet szeptem - Stephen zatoczył się po pokoju jak ranny.

- Przepraszam. Przepraszam, Stephenie. Przepraszam, Williamie

- Elizabeth roześmiała się.

- Fatalnie ci to wyszło, Elizabeth - Dominik obdarzył ją uśmiechem.

- Wiem, Dominiku. Wiem o tym.

- Może Chrystus miał po uszy całego tego stylu macho i zaczął wygłaszać kazania o łagodności, cierpliwości et cetera. I miłości przez duże M. Jak sądzisz, mamó, czy on nie był pierwszym człowiekiem „nowej fali”?

- Stephen, to brzmi zupełnie jak bluźnierstwo. - Powiedziała to z łagodnym uśmiechem. Nie potrafiła uśmiechać się inaczej.

- Nie można mieć wszystkich cnót naraz.

- Pogańskie i chrześcijańskie cnoty - odezwał się Charles, wpatrując się intensywnie w chłopców - są niemal sobie przeciwstawne. Delikatna odwaga? Łagodna sprawiedliwość? Los decyduje o tym, od jakich cnót zależeć będzie nasze życie. Ty, Stephenie, mógłbyś na przykład odkryć, że tylko odwaga może ocalić twoją duszę. Że byłeś miły, łagodny i kochający... ale te chrześcijańskie wartości okazały się zbyt słabe. Potrzebna ci była inna cnota, odwaga.

Charles, spójrz na mnie. Spójrz na mnie! Proszę bardzo, możesz w ten sposób, jeśli chcesz. Ja jestem odważna. Czemu ty nie potrafisz?

- Elizabeth, co jest największą cnotą? - spytał Dominik. Tak, opowiedz mi o cnotach, Elizabeth.
- Mój Boże, to takie trudne pytanie.
- Odpowiedz, mamó - wtrącił Stephen.
- Nie istnieje jedna cecha charakteru, która zastępuje pozostałe. Jak powiedział Charles, można być jednocześnie okrutnym i odważnym, wiernym i ambitnym. Przykro mi, ale nie jestem dobra w udzielaniu ostatecznych odpowiedzi.
- Och, daj spokój, Elizabeth. Przestań dopraszać się współczucia. Świetnie dajesz sobie radę.
- Chłopcy chcieliby usłyszeć twoje zdanie... to ważna sprawa
- oczy mi zabłyśły.
- Chodzi o stosunek do świata. Do innych ludzi. I do siebie

samego. To postawa... to wiara oparta na gotowości robienia tego, co dobre i słuszne, niezależnie od wszystkich okoliczności życiowych. Taka jest, jak przypuszczam, moja filozofia życiowa... trzeba poprzedzić działanie... namysłem. Bo zło, jakie czynimy, ma początek w złych myślach. A więc trzeba pielęgnować w sobie dobre myśli. A z tego wynikną dobre działania. Ja... Nieważne, że... to się nie zawsze udaje... niemal zawsze okazuje się trudne. Charles podszedł do niej.

- O tak, masz rację, Elizabeth. - Przysiadł na poręczu jej fotela.

- A więc to coś jest w duszy... w sercu czy w umyśle człowieka? - spytałam z pewnym zainteresowaniem.

Okaż szacunek, Ruth. Ta kobieta mówi szczerze.

- Wszędzie - kiwnęła głową. - I to wymaga... tak wiele. Spoglądał na nią jak na jakieś bóstwo... boginię. To jest właśnie to. Coś, czego może nie będę umiała pokonać. Ale pokonam!

- Mamo. Jesteś aniołem. Zawsze o tym wiedziałem - wybuchnął Stephen. Nie wstał z krzesła. - Ale kiedy mówisz o dobroci, ja chcę tylko być zły. Przebiegnijmy się dookoła jeziora! William? Ciociu Ruth? Chodźcie, pokażę wam, jak szybko biegam - wyciągnął do mnie rękę.

- Dołączę później - powiedział William - muszę najpierw pójść do garażu naprawić rower.

Czasami William wolał być sam. Moje niezależne, poważne dziecko.

- Ciociu Ruth, czy pójdziesz ze mną na spacer? - zapytał Stephen. Zawahałam się. Nie mogłam odpowiedzieć: „Wolę zostać z Char-lesem. Twoim ojczymem. Żeby sprawdzić, czy potrafię przełamać jego opór. Jego chęć porzucenia mnie”.

- Tak. Dobrze, Stephen. Idź pierwszy, dogonię ciebie.

- Świetnie. Do zobaczenia, ciociu Ruth.

Zerwali się obaj i pomknęli jak strzała, każdy do swego celu. Wskutek impetu, z jakim wypadli z pokoju, niemal otworzyły się na oścież okna. Odeszli. Młodzi opuścili nasze zgromadzenie. Siedzieliśmy przez chwilę spoglądając po sobie w milczeniu. Jak to dorośli. Z pobłażliwym uśmiechem.

Matka przerwała ciszę:

- Zastanawiam się, Charles, czy nie zawiózłbyś mnie do Barn-ham? Dasz radę? To tylko dziesięć minut jazdy. Obiecałam Claude przywieźć jej na lunch trochę naszych pomidorów. Ben zerwał je dzisiaj rano. Chętnie dam je jej sama.

- Do usług, Aileen. Z przyjemnością.

- Ja też pojedę - zaproponowałam - od wieków nie widziałam Claude.

W towarzystwie dwóch nieco głuchych i niemrawych starszych pań znajdzie się z pewnością trochę czasu... na rozmowę.

- Ależ Ruth! Przecież ty nigdy nie lubiłaś Claude.

Och te matki! O czym one nie wiedzą! O czym nie pamiętają! Sprawy, do których nasza pamięć nie sięga. Nic dziwnego, że marzymy o ucieczce. Pożarłyby nas, gdyby mogły.

- Nonsens, mamo.

- Czy będziecie jechać przez wieś? - spytał Dominik.

- Dominiku, od ilu lat przyjeżdżasz do Lexington? Masz najgorszą orientację w terenie ze wszystkich ludzi, których znam.

- No cóż, dziękuję, Ruth. Ale przecież kiedy tu jesteśmy, rzadko bywamy poza Lexington. Nigdy nie byłem u Claude, więc skąd na miłość boską mam wiedzieć, gdzie to jest?

Ot, małżeńskie sprzeczki. Nic więcej, Charles. Nie rób takiej smutnej miny.

- W porządku, więc zaczniemy poszerzać twoją wiedzę od dzisiaj. Jedź z nami. Claude to fascynująca kobieta. Podczas

drugiej wojny światowej służyła w wywiadzie. - Charles. W roli mediatora.

- Do jej wojennych zasług dodaj trzech mężów... wszyscy umarli w porę, i pokażną kolekcję kochanków.

- Ruth, moja droga, nie mówiłabym „umarli w porę” o trzech mężczyznach, których znałam i lubiłam.

- Mamo, żartowałam. Ja tylko żartowałam. Mój plan załamywał się.

- Szczerze mówiąc, oprócz fascynacji osobą Claude chciałem zatankować samochód. Pozwólcie, że zawiozę tam was troje

-Dominik wstał.

- Charles, jeżeli Dominik jedzie, nie ma chyba powodu, żebyś jechał i ty - podjęłam ostatnią próbę. Zyskania czasu, jaki był mi potrzebny.



- Ruth, mam ogromną ochotę spotkać się z Claude. I mogę pokazać Dominikowi drogę.

Wymknął mi się.

Wyszli. Elizabeth ruszyła do kuchni omówić z Alice co podadzą na lunch. Poszłam nad jezioro odszukać Stephena.

- Cześć, ciociu Ruth. Chwila milczenia.

- Wiesz, czytamy w szkole *Madame Bovary* - chciał zrobić na mnie wrażenie.

- I co o niej myślisz? - spytałam.

- No cóż, myślę, że nie umiała uciec... no wiesz... od siebie samej.

Nikt jej nie pomógł się uwolnić.

- Bardzo słusznie, Stephenie.

Spojrzał na mnie. Nieco rozbawił mnie wyraz jego twarzy.

- Czasem czułem, że nie umiem uciec... od mojej astmy. Czy wiesz, ciociu Ruth - znów przybrał męski ton, chcąc zatrzeć wrażenie, że szuka współczucia - co powiedział Flaubert umierając?

Wiedziałam. Ale wołałam pozwolić mu mówić.

- Co powiedział?

- „Ja umieram, a ta dziwka Bovary będzie żyć wiecznie.”

-Roześmiał się. Zachwyciły go własne słowa.

- Przepraszam za tę „dziwkę”. Nauczyłem się od nauczyciela francuskiego. - Znów roześmiał się. Kaskada śmiechu. Stephen śmiał się cudownie. Wziął mnie pod rękę. - Ciociu Ruth, jesteś naprawdę zdumiewająca. - Przerwał i wbił wzrok w ziemię. - Jesteś taka... piękna. Brr... To zabrzmiało... okropnie.

Przepraszam. Przepraszam, ciociu Ruth. - Nagle aż podskoczył z entuzjazmu.

- Ciociu Ruth, przepłynę jezioro. Dla ciebie. Pokażę ci... jaki potrafię być odważny. Zrobię to dla ciebie.

- Nie bądź śmieszny, Stephen. Idź do garażu i pomóż Williamowi z rowerem.

Rzucił mi pytające spojrzenie. Potem wzruszył ramionami i kopnął kilka kamieni mówiąc:

- Okay, ciociu Ruth. Okay.

Znudzona odwróciłam się i poszłam z powrotem, pochłonięta myślami o Charlesie. O tym, jak go odzyskać.

W domu zastałam Elizabeth, która ugniałała cytryny, żeby je zmiękczyć. Pokroiłam czarne oliwki, posypując nimi różowobrazowe mięso krabów. Wstawiłam wino do zamrażalnika i odświeżyłam pieczywo.

Poszłam do siebie przebrać się i poprawić makijaż przed lunchem. Z Charlesem. Potem dołączyłam w kuchni do Elizabeth i Alice.

Odwróciłam się od okna oślepiona na moment blaskiem ukośnie padających promieni październikowego słońca. W drzwiach kuchni stał mężczyzna. Ben. Nie mógł mówić. Schwyciłam go za ramiona. Potrząsnęłam. Pchnęłam na drzwi. Nie miało sensu pytać: „Co się stało?“, „O co chodzi?“ Twarz ściągnięta w grymasie trwogi i bólu sprawiała, że słowa stawały się zbyteczne. Wykrztusił:

- Stephen... tam w jeziorze - złapał oddech. - Atak astmy.

Zamarłam na moment. To nie William. O Boże... w którego nie wierzę... dzięki ci, Boże.

Nie jestem potworem. Elizabeth krzyczała:

- Och nie! Nie!

Rzuciłam się pędem ratować jej syna.

Pognałam przez trawnik, potem ogród i dalej przez park w dół do jeziora.

Ktoś był tam już przede mną. William. Mój syn. Próbował rozpaczliwie ratować Stephena.

Zobaczyłam ich ze szczytu wzgórza. Razem w wodzie. Zdawali się unosić powoli, z wdziękiem, jak tancerze. Jak gdyby jakaś potężna siła wypychała ich na powierzchnię. W stronę nieba. Stephen trzymał Williama w uścisku. Jak ogarnięty żądzą posiadania kochanek, który nie pozwala odejść. Zwyciężył. Obaj zanurzyli się. Mętna tafla zamknęła się nad nimi. Ile razy? Ile razy jezioro brało ich w swoje posiadanie? - William, ratuj się! - z moich ust wyrwał się krzyk. A potem: Zostaw go! - wiatr poniósł słowa, które zamarły w ciszy. Raz jeszcze pochłonęła ich nieprzejrzysta toń. Gnałam długim stokiem, Elizabeth za mną. Skoczyłam do wody i popłynęłam do miejsca, gdzie, jak mi się wydawało, widziałam ich po raz ostatni. Zanurkowałam. W czarną otchłań. Dlaczego mrok nie rozjaśni się teraz, kiedy oni toną? Zanurkowałam raz jeszcze. I jeszcze raz. Znowu nic. Brud. Muł.

I ciemność. Poczułam ból. Fizyczny ból. Wypełniał mnie. Wypłynęłam na powierzchnię. Zanurzyłam się znowu. I jeszcze raz. Raz za razem. Ale nie umiałam ich odnaleźć. Daleko ode mnie Elizabeth pływała w koło jak szalona, ciągle nurkując. Popłynęłyśmy do brzegu. Opadłyśmy na ziemię. Wyciągnęła do mnie ramiona z miłością i współczuciem. Raz jeszcze mnie pokonała.

- Idź do diabła, Elizabeth. Stephen wciągnął go za sobą. Wiem o tym. To Stephen go utopił. Mojego Williama. On chciał go uratować. Stephen to zrobił. O Boże, o Boże!

Czemu teraz Cię wzywam?

- Mój Boże! Jak ja cię nienawidzę, Elizabeth. W końcu udało ci się mnie załatwić.

Ruszyłam w jej stronę. Obryzgałam ją wodą. Potem chwyciłam kamienie i ciskałam w nią. Rzuciłam się na nią, uderzyłam kantem dłoni, jak nożem, w szczękę. Złapałam za szyję, gotowa udusić. Potem dostrzegłam leżącego na ziemi zdechłego ptaka. Podniosłam go i zaczęłam wgniatać ścierwo w jej piersi.

Leżała łkając i szepcząc:

- Ruth. Proszę, nie. Pomyśl o naszych synach. Nasi synowie. W końcu przestałam. Spojrzałam na leżącą postać. Czy coś jej złamałam? Trudno powiedzieć, była cała we krwi. Nie wiedziałam, czy uszkodziłam kość, czy tylko miękkie tkanki. Smród? Wydzielał go gnijący ptak. Szczątki, które przywarły do jej sukni. To nie w Elizabeth była zgnilizna, którą wreszcie wydarłam. Bez finezji, o jakiej marzyłam, w przystępnie dzikiego żalu, cierpienia, poczucia porażki.

W dół stoku pędzili ludzie z pogotowia, niosąc bezużyteczne nosze. Pobiegłam krzycząc w ich stronę:

- Są tam w jeziorze. Nie mogłam ich wydostać. Nosze nie są potrzebne. Nie ma ciała. - Ujrzałam przed oczami twarz Stephena. - Nie ma ich ciała.

Stanęli bezradnie. Ludzie niosący pomoc. Oswojeni z przypadkami nagłej śmierci. Nie wiedzieli, jak postępować, skoro nie było ciała, które mogliby ostrożnie przenieść i złożyć na swoim wspaniałym płóciennym ołtarzu.

- Strażacy... nurkowie są w drodze - odezwała się młoda kobieta ubrana w kostium. - Pani Garton?

- Kim pani jest? - moje słowa jak pociski ugodziły w natręta.

- Jestem Sarah Duncan, a to jest chyba... - spojrzała na Elizabeth.

- Elizabeth Harding, jestem matką Stephena.

- Przez telefon mówili... o dwóch chłopcach...

- Stephen i William.

- To wasi synowie?

- Tak.

- Tak mi... tak mi przykro... Przykro?

- Pani Garton będzie lepiej, jeżeli wrócimy do domu.

- Nie.

- Pani Garton... proszę.

- Nie.

- Lady Harding?

Elizabeth pokręciła głową. Krew spływała po niej mieszając się ze szczątkami ptaka. Miała na sobie niebieską bluzkę. Nie, jak zwykle, białą. Nie zauważyłam tego wcześniej. Lekarka nachyliła się, wyjmując z walizeczki środki opatrunkowe. Zajęła się pokaleczoną przeze mnie twarzą Elizabeth.

- Upadłam dość niefortunnie - powiedziała Elizabeth. - Kiedy biegłam w stronę... chłopców. Na ptaka. I wychodząc z wody potknęłam się na brzegu jeziora.

Milczałam. Ktoś narzucił mi na ramiona obszerny koc.

- Pani Garton. Lady Harding. Byłoby lepiej, gdybyście zmieniły ubrania.

- Nie - odezwałyśmy się chórem.

Ludzie niosący pomoc nie umieją znieść bezczynności. Nie potrafią przyznać, że wszystko zawiodło. Muszą, jak księża, potwierdzać swoją użyteczność. Zwłaszcza w skrajnych sytuacjach. Poza tym, w odróżnieniu od księży, nie mają zmarłym nic do zaoferowania. Na pewno nie mogą, jak oni, obiecać im nowej, bezcielesnej egzystencji. Umożliwiającej pozostanie przy nas w roli niewidzialnych duchów. I czemu właściwie mieliby tu pozostać? Żeby patrzeć, jak płaczemy, i nie móc się do nas przyłączyć? Ostatecznie to ich życie przeminęło. Przyszłość nie istnieje. Dla nich czas dobiegł kresu. Koniec. Żadnych nowych zdań. Żadnych nowych akapitów. Życie chłopców. Krótka opowieść bez dalszego ciągu. Przyszłość

nie istnieje. Nie będzie przyszłości. Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy. - Pięć razy nigdy. Zawsze uważałam, że to ważne. „Zabić, zabić, zabić, zabić, zabić” - Lir ogarnięty szalem musiał powtórzyć to aż sześć razy. O dwa na pewno za dużo. Bo któż poznał ból, kto nie szalał z rozpaczy? Szał. Rozpacz.

Na szczycie wzgórza pojawiły się czarne sylwetki. Ludzie w gumowych wodoszczelnych kombinezonach. Na głowach monstrualne hełmy płetwonurków.

Popłynęłam z nimi do miejsca, gdzie po raz ostatni widziałam syna. Tam, gdzie mnie porzucił. Ktoś inny wziął go zbyt mocno w objęcia. O, jakże matki nienawidzą tych, którzy zbyt mocno obejmują ich dzieci. Wiedzą, jak łatwo wycisnąć z kogoś życie. Zostaje tylko ciało.

To, co po nim pozostało - ciało, które tak kochałam - w końcu wypłynęło na powierzchnię. Złączone w uścisku z drugim ciałem. Ich nogi splatały się jak pnie drzew. Jak śpiący kochankowie. Nieruchomi. Ramiona Stephena obejmowały Williama w pasie. Twarz Williama zdawała się wciśnięta głęboko w jego pierś. Jakby była częścią jego ciała. Głowa Stephena odrzucona do tyłu. W ostatnim odruchu walczył o haust powietrza. Zanim pociągnął za sobą Williama. Wiedział przez całe życie, co to jest walczyć o łyk powietrza.

Nagle poczułam, że muszę zrobić to samo. Nie chciałam płakać. Po prostu nagłym, konwulsyjnym odruchem musiałam wciągnąć do płuc haust powietrza. Żyłam.

Ciała umarłych są ciężkie. Młodzi nurkowie, jak żołnierze na polu bitwy, próbowali ich rozdzielić.

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- Pani Garton...

- Zostawcie ich tak. Nie rozdzielajcie ich.

- Ale...

- Zostawcie ich razem.

Ciała, niczym jeden posąg, złożono na brzegu. Wyglądali jak rzeźba wysokiego, szczupłego młodzieńca. Miał głowę Stephena, nogi Williama.

Dwaj nurkowie delikatnie rozłączyli ciała, podczas gdy inni tłoczyli tlen w odporne płuca. Ci obcy ludzie chcieli oszukać śmierć.

Lecz śmierć była mądra. Wykorzystując słabość jednego i miłość drugiego, zabrała ich obu za jednym zamachem. Nad nami świeciło nadal słabe, październikowe słońce. Nie odeszło ogarnięte smutkiem. Nawet wtedy, kiedy obwieszczono ostateczny triumf śmierci.

Lexington czekało na nas, kiedy szliśmy wszyscy powoli w stronę domu, niosąc nieżywe ciała naszych dzieci. Naszych synów. Żaden z nich nie odziedziczył lewego ani prawego skrzydła posiadłości. Lexington zdawało się cieszyć z tego, że z czasem - może - zostanie zostawione w spokoju.

Charles i Dominik wybiegli na taras przez otwarte na oścież drzwi. Matka stała nieruchomo z zaciśniętymi oczami.

- O mój Boże... o mój Boże - głos Dominika.

Nie podbiegł do mnie. Odwrócił się w stronę niskiego żywopłotu oddzielającego taras od trawnika, jakby chciał dyskretnie wymiotować. Charles stał patrząc ponad głowami sanitariuszy na nosze strzeżone z obu stron przeze mnie i Elizabeth. Na moment ukrył twarz w dłoniach. Potem odwrócił się i odsunął moją matkę, robiąc przejście dla dźwigających ciężar ludzi.

Karetka czekająca na podjeździe od frontu przyjęła ładunek.

Wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy wolno za nią. Ciągle



nieprzygotowani na tak długie rozstanie. Młody policjant został z Benem, żeby spisać jego zeznanie.

W małym wiejskim szpitalu zadawał nam pytania najdelikatniejszy ze wszystkich sierżantów policji i najbardziej troskliwy z lekarzy. Jak gdyby odpowiedź na pytanie „jak” mogła wyjaśnić nam „dlaczego”.

W pewnym momencie porozumieliśmy się bez słów i ruszyliśmy przez zapadający zmrok w drogę powrotną do Lexington.

Lexington, które zmieniło się nie do poznania. Oszukało nas.

Przez całe te długie lata stwarzało pozory bezpieczeństwa. Snując moją delikatną sieć nienawiści, nigdy nie czułam strachu. Czy to ja popełniłam świętokradztwo? Nie. Nie, to nie ja. To syn Elizabeth zabił mojego syna.

Nie ponoszę winy. Nie za to. Nie zaakceptuję, nie zamierzam zaakceptować innego wytłumaczenia. Bo to byłaby prosta droga do szaleństwa.

Nie warto opisywać następnych dni. Ci, którzy wiedzą, wiedzą. Ci, którzy nie wiedzą, nigdy nie zrozumieją.

Pogrzeb. Pojawiła się delegacja chłopców reprezentujących uczniów. Widok ich krzepkich nóg ranił mi oczy. Patrząc na ich twarze czułam, jak gorycz wypełnia mi usta. Ich słodkie głosy były jak trucizna dla moich uszu.

Pograżony w smutku dyrektor i przygnębieni nauczyciele wystawiali świadectwo życia chłopcom, których czas przywykli mierzyć upływającymi semestrami.

Jakiś minister, ludzie interesu, ludzie ze świata artystycznego, wydawcy i uczeni tworzyli źle dobraną mieszankę. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Bo nie było odpowiednich słów.

Lexington wzięło ich w posiadanie, przytłaczając swym nastrojem. I nakarmiło - po tym, jak złożyliśmy chłopców, teraz ostatecznie rozdzielonych, do sąsiednich grobów na dziedzińcu wiejskiego kościoła, obok innych członków rodziny. William, mój śmiertelnie poważny syn. Teraz w jak najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. Nie powinnam być jego matką. Był dla mnie za dobry. Czy był w tym jakiś świadomy zamysł? Plan zniszczenia mnie? Jeśli jacykolwiek krewni mieli w sobie choć odrobinę dobra... czy nie mogli wstawić się za nami? Potem przypomniałam sobie: Nie wierzę w Boga. Ani w życie pozagrobowe. Ta myśl okazała się pocieszająca.

Jakże staro i posepnie wyglądaliśmy następnego ranka. Jednak nie było dla nas chwili wytchnienia. Śmierć potrzebuje nowego życia. Po śmierci życie nie może toczyć się starymi koleinami. Śmierć odnosi podwójny triumf. Odbiera życie i wywiera fatalne piętno na tych, którzy pozostali. Cóż za potęga.

Teraz posłużyła się najslabszym z nas, Dominikiem, żeby odebrać nam złudzenie spokoju. Odkąd jego życie zostało odarte na zawsze z harmonii, chciał być „szczerzy”... po raz pierwszy od wielu lat... ze mną... z nami wszystkimi.

Szczerłość, Dominiku? Prostolinijność. Linia prosta? Fragment czegoś. Prostokąt? Może trójkąt. Raczej nie. Ostatecznie było nas czworo.

- Elizabeth, czy wiedziałaś... że Charles miał romans z Ruth?

Siedziała spokojnie, bez ruchu. Pomyślałam, że nie dosłyszała.

- Elizabeth! Mówię do ciebie. Wiedziałaś?

- Nie.

- Dominiku, co robisz, na miłość boską?

- Ujawniam prawdę. W końcu właśnie doświadczyliśmy prawdy ostatecznej. To sprawia, że wszystko wygląda dość żałośnie.

- Więc po co to?

- Potrzebuję... potrzebuję tego, Ruth. Naprawdę potrzebuję. Mam teraz więcej odwagi.

Odwagi? Boże!

- Niedawno domyśliłem się, że to był Charles. Przedtem... myślałem, Ruth, że nie potrafię żyć bez ciebie. Ale kiedy to się stało, nie czułem bólu. Trzy dni temu nie czułem nic. Nie chcę, żeby pozostało między nami jakiegokolwiek kłamstwo. To nie-zwykłe, jak bardzo pragnę teraz w moim życiu czegoś... prawdziwego.

- Elizabeth. To, co ci powiedział Dominik, to prawda.

- Dzięki ci, Charles, dzięki przynajmniej za to. - I zwracając się do Dominika, dodała: - To niesłychane, ilu ludzi można skrzywdzić prawdą.

- Przykro mi. Ale musiałem to powiedzieć. W końcu każdy stara się ratować siebie.

- Nie każdy, Dominiku. Nie William. - Przypomniałam sobie scenę, w której widziałam go po raz ostatni.

- Postąpił po bohatersku. I przegrał - rzekł Charles.

- No cóż, wiele bym dała, żeby nie był bohaterem. Wiele bym dała za to, żeby ratował siebie.

- Ja też, Ruth. Ja też. Strata Stephena i świadomość, że jego choroba stała się przyczyną śmierci Williama... to straszne. - Elizabeth rozplakała się. Siedzieliśmy w milczeniu.

Potem zaczęła mówić. Cicho, spokojnie.

- Jak ten świat się zmienił. Wszystko się zawaliło. Tu, w Lexington. W tym domu, w którym żyłam tak cicho, spokojnie. Całe moje życie było takie. Bo jeszcze jako dziecko wiedziałam... że to nie jest naprawdę mój dom. Trafiłam tu... z powodu śmierci. Odziedziczyłam na zawsze ten smutek. Ale kochano mnie. Tak bardzo mnie kochano. A mimo to nigdy nie miałam dość pewności siebie, żeby... sprawić komuś... kłopot. Albo rozczarować... Kiedy urodziła się Ruth, to było dla mnie coraz ważniejsze. Im bardziej ona stawała się sobą - dziką,

niebezpieczną, błyskotliwą Ruth - tym bardziej ja musiałam być cicha i dobra. Elizabeth, ta dobra, to byłam ja. Potem to się stało sposobem na życie. Weszło w zwyczaj. Nie umiem żyć inaczej. Zrozumcie, nie mam odwagi. Nawet teraz, wbrew temu, co zrobił Dominik. Ja nie umiem oszukiwać - tak jak ty, Charles. I ty, Ruth. Brakuje mi... sił... tak, właśnie. Nie mam dość sił, żeby zrobić to, co wy.

- Kocham cię, Elizabeth. Proszę, proszę, zrozum... proszę cię.

- Charles przysunął się do niej, patrząc błagalnym wzrokiem.

Obserwowałam go. On błagał!

Powiedz mu, Elizabeth. Powiedz, jak cię prześladowałam. Powiedz mu to.

- Charles... kochany. Nie. Coś mi podpowiada, że to nie może tak trwać. Nie wiem, może ty należysz do Ruth, a nie do mnie.

Kiedyś przeżyłam z Hubertem coś, co było doskonałe. Może gdyby żył dłużej, to coś przestałoby być doskonałe. Ale nie sądzę. Nie. Nie. Jestem tego pewna. Chcę zachować takie wspomnienie... jeśli mogę. Czy mogę... Ruth?

- Co masz na myśli?

- Och, Hubercie, wybacz mi. Proszę cię, wybacz - krzyknęła do niego. Po tylu latach.

- Hubert jest... on był zawsze twój i tylko twój.

- Wiem o tym, Ruth. Nie potrzebuję twojego potwierdzenia.

- Skończmy z tym, Elizabeth. Elizabeth, proszę cię. Nie chcę tego. - Charles zacisnął ręce na brzegu stołu. Jakby potrzebował oparcia.

- Ani ja tego nie chcę, Charles. Ale muszę tak postąpić.

Spojrzeliliśmy na nią wszyscy. I wszyscy wiedzieliśmy, że ją na to stać. Bo przecież w sercu dobroci tkwi jakieś twarde, kamienne jądro. Może właśnie dlatego aż nazbyt często staramy się jej unikać.

Potem było dochodzenie, śledztwo ze Śmiercią w roli podejrzanego. Bezcelowe. Bo Śmierć popełnia zawsze zbrodnię doskonałą. Nigdy nie daje się schwytać. Pojawia się w tylu przebraniach. Jako choroba. Nieszczęśliwy wypadek. Przemoc. Ta lista nie ma końca. Śmierć jest okrutna, śmieszna, makabryczna, szalona, łagodna. Jest skryta i sławna. Przyczaja się, a potem staje nagle w pełnym świetle. Jest wielka i wspaniała. Patetyczna. Oczyszczająca. Ale zawsze, zawsze Śmierć triumfuje.

Fakty. Ustalone w toku pytań i odpowiedzi. Atak astmy. U Stephena. Nie pływał dobrze. Ben. Bohater William. Jazda rowerem na łeb na szyję, by ocalić walczącego o życie Stephena... dławiący atak astmy... na środku jeziora. William, bohater, któremu się nie udało. Dwa przedwczesne zgony. Padały pytania, których wołałam nie usłyszeć. Na które odpowiadałam. Nie zawsze zgodnie z prawdą.

Po zakończeniu śledztwa wyjechała.

W oczach Charlesa stałam się Judaszem Iskariotą. On także wyjechał tej nocy z Lexington. A ja rozdarłam szaty.

Wrócił po paru miesiącach. Myślę, że powodem była słabość.

Elizabeth okazała się nieugięta. Nie docierały do niej żadne jego argumenty. Zamieszkała w odległej części Szkocji. W domku na

peryferiach małej wioski. Zajęła się malowaniem. Uważałam, że to śmieszne - że tak mierny talent może podtrzymać ją na duchu.

Powitałam z wdzięcznością jego powrót. Wiedziałam, że kocha

mnie tak jak tylko potrafi. To nie jego wina, że ja posunęłam się o

krok za daleko. I zostałam sama. Przekonałam się, że ciągle za

nim tęsknię. Postanowiłam być czemuś wierna. Tęsknota była

taka prawdziwa. To mi wystarczyło i chyba nadal wystarczy.

Mieszkamy teraz w Lexington. Sprzedaliśmy londyńską pracownię. Mój wspólny dom z Dominikiem. I Williamem. Wynajęliśmy pracownię Elizabeth. Za symboliczną sumę. Młodej artystce Beatrice, nie zapamiętałam jej nazwiska, która ma w sobie coś... Nie chodzimy tam. Wszystkie sprawy finansowe załatwia pośrednik.

Charles przekazał Frimton swojemu synowi Christopherowi, który wrócił do Anglii. Żonaty mężczyzna z rodziną. Ma dwóch synów. Nie odwiedzam ich.

Wróciłam do Lexington z powodu matki. Nagły przyływ uczuć. A może chęć pokuty? Elizabeth pożegnała się z nią. Spóźnione, nieoczekiwane okrucieństwo z jej strony. Ale matka nie chce słyszeć o niej złego słowa i zawsze mówi „rozumiem to”. Ja w pewnym sensie też. Ale daleka jest droga od zrozumienia do akceptacji. A ja nie uczyniłam nawet pierwszego kroku.

Rozwód z Elizabeth nie stanowi problemu. To bez znaczenia, mówi Charles. Ona, o ile wiem, nie mówi nic. A więc mieszkamy w Lexington, ja i on. Nasze ciała współpracują. Poruszają się zgodnie, w sposób zaprogramowany zapewne jeszcze przed naszymi



narodzinami. A potem on odwraca się ode mnie. Zawsze. Także teraz. Pograżony w swoim smutku. Zaspokojony.

Jak we śnie ciągniemy tę grę. Na pozór nasze życie obfituje w napięcia. Jednak teraz już umiemy sobie z nimi radzić, co sprawia, że mamy mniej problemów, niż można by oczekiwać.

Kiedy czasem patrzy na mnie z nienawiścią, przyjmuję to potulnie. Kiedy moja nagość gorszy go, ubieram się. Był taki czas, kiedy byłam jego boginią.

W przeszłości poszukiwałam wskazówek, które pozwoliłyby mi zrozumieć Elizabeth. Teraz mam wszystko, czego potrzebuję do starannych studiów. Fotografie. Listy. Ubrania. Perfumy.

Mydełka Książki.

I jej męża.

I ciągle nie mogę jej pojąć.

Ilekcio Charles wyjeżdża - teraz zdarza się to rzadziej - siadam w jej pokoju. Patrząc w lustro, korzystam z niewielkiego zestawu jej kosmetyków. Kupiłam blond perukę. Metamorfoza.

Czasem godzinami noszę jej ubrania, włosy, twarz. Wpatrując się bezustannie w lustro, przypominam sobie nauczycielkę ostrzegającą przed diabłem, który ukaże ci się, jeśli zbyt długo będziesz patrzeć we własne odbicie.

Diabeł nie pojawia się w lustrze. Czy umiałabym go rozpoznać? Ani nie pojawia się Elizabeth, choćbym nie wiem jak zdołała się do niej upodobnić. I nie jest to Ruth. Bo ja nie jestem ani Ruth, ani Elizabeth. Jestem tylko odbiciem. Fragmenty mnie. I fragmenty jej.

Nie zamierzałam pokazywać tego mutanta Charlesowi. Bałam się, że zobaczy jaki jest straszny. Może postanowi go zabić. Jednak ten, którego stworzyłam, zaczął, jak Frankenstein, żyć własnym życiem. Pewnego razu myśląc, że Charlesa nie ma w

domu, odbywałam moją codzienną drogę pokutną wokół jeziora, raz dla Williama i raz dla Stephena. On... zobaczył to.

I łkając, rzucił się ku mnie.

Tym razem było zupełnie inaczej. Inne ruchy. Westchnienia. Rytm.

Już po wszystkim poczułam, że teraz znam ją lepiej. Kiedy szedł w milczeniu w stronę Lexington, zostawiłam na brzegu złote włosy, dzinsy i białą koszulę. Mokra zanim jeszcze dotarłam do wody, zanurzyłam się i popłynęłam na drugi brzeg, tam i z powrotem, czując kąsający chłód kwietniowej toni.

Miewam oczywiście sny. Pojawia się w nich znana mi postać dorastającego młodzieńca.

Nadal też miewam moje dobre chwile. Kiedy jestem wspaniała, zmysłowa. Kiedy ja - Ruth - wznoszę się i opadam na ziemię, albo na prześcieradła, by otworzyć się przed nim.

Lecz zdarza się to coraz rzadziej. Nie czuję żalu.

Dominik? No cóż, Dominik odszedł. Nie odbyło się to spokojnie. Porcja złości i goryczy, która musiała wylać się z jego umęczonej duszy. Nie chcę go winić. Pojechał do Kalifornii. Wrócił na uniwersytet. Zyskał powszechne uznanie. Może słyszeliście o nim? Przez pewien krótki okres romansował z wieloma kobietami. Napisał do mnie - również na temat tego aspektu swego nowego życia. Spaliłam list. Na wypadek gdyby miał drugie dziecko. Z nową żoną.

Parę lat temu ożenił się z wysoką blondynką, typową intelektualistką młodszą od niego o piętnaście lat. Myśląc o tym, uśmiecham się czasem. Rozumiem, że teraz on stał się przedmiotem czyjegoś uwielbienia. Doskonała harmonia.

Wreszcie osiągnięta równowaga.

Ma bez wątpienia wiele do powiedzenia. Na mój temat. I kto wie? Może mówi prawdę.

Jestem znakomitym kierowcą. Prowadzę szybko, maksymalnie skoncentrowana. Nie uznaję automatycznych skrzyń biegów - jak sądzę, nie pozwalają na utrzymanie rytmu. Charles, bardziej teraz wciągnięty w działalność charytatywną, musiał - jako członek komitetu doradczego - uczestniczyć w trwających tygodniami dochodzeniach Wspólnoty Europejskiej dotyczących praw uchodźców.

Postanowiłam wykorzystać jeden z takich tygodni i pojechać do Szkocji, żeby zobaczyć się z Elizabeth. Musiałam się z nią zobaczyć. Pamięć zacierała się. Po dwóch latach nie wystarczało mi już przebieranie się w jej stroje.

Chociaż byłam pewna, że Charles ma jej adres, nie sądziłam bym mogła poprosić o podanie mi go. Wreszcie dzięki paru kłamstwom i intrygom dostałam go w galerii, która wystawiała jej prace, odnoszące coraz większe sukcesy. Teraz wszyscy traktowali ją dużo poważniej. Tragedia, jaką przeżyła, zwiększyła jej notowania, podobnie jak fakt, że zamieszkała w swej szkockiej samotni. I konsekwencja, z jaką odprawiała dziennikarzy. Równie istotny był styl życia artystki. Samotność. Także cierpienie. I nędza. Pod tym względem Elizabeth musiała ich głęboko rozczarować.

Narażałam się na gniew Elizabeth. I Charlesa. Czy ona mu powie? Miałam nadzieję, że raczej nie, że jednak pozostało w niej coś z dawnej Elizabeth. Musiałam to zrobić. Może wystarczy mi spojrzenie na jej willę. Potrzebowałam koniecznie jakiegoś fizycznego tła, na którym mogłabym umieścić obecne życie Elizabeth. W moich myślach, bo myślałam o niej codziennie. Może co godzinę. Stara obsesja.

Dotarłam na miejsce o zmroku. Willa leżała trzy mile od małej wioski, u stóp wielkiego górskiego zbocza. Rozległa sceneria

zмагаń światła z chmurami, dwóch żywiołów pragnących wypróbować swoje siły. Znakomite miejsce dla malarskich popisów Elizabeth. Absolutne piękno.

Lubię działać z zaskoczenia. Przybyłam nie zapowiedziana, zaparkowałam samochód przed frontem domu. Po obu stronach drewnianych drzwi znajdowały się niskie okna. Zapukałam. Jakiś czas czekałam w milczeniu, po czym spróbowałam zajrzeć przez okno do środka.

- O co chodzi?

Odwróciłam się. Poczułam zakłopotanie. Przyłapaną na... podglądaniu? Co za paskudne słowo. W drzwiach stał wysoki, dwudziestoparoletni mężczyzna.

- Czy zastałam Elizabeth?

- Kim pani jest?

- Jej... siostrą.

Dobrze powiedziane, Ruth.

- Ona nie ma siostry.

- Naprawdę? Kim pan jest?

- Nie muszę na to odpowiadać.

- Sam urok i wdzięk, nieprawdaż? Gdzie jest Elizabeth?

- Tu jej nie ma.

- Czy zamierza wrócić? - Tak zapewne wygląda praca detektywa.

Chyba byłabym w tym niezła.

- Nie wiem.

- Proszę posłuchać. Niewątpliwie wydaję się panu kimś bardzo groźnym. Nieznajoma, metr siedemdziesiąt dwa i pół przeciwko pańskim muskułom i pańskiemu metr osiemdziesiąt kilka wzrostu. Być może planuję rabunek. Nawet gwałt. W pełni rozumiem pańskie przerażenie spowodowane moim przyjazdem. Ale ja jestem siostrą Elizabeth Ashbridge. Nazywam się Ruth Garton. Chciałabym wejść

i zaczekać na nią. Nie oczekuję filiżanki herbaty ani kieliszka wina. Nie chcę, żeby mnie pan zabawiał. Czy mogę? - Ruszyłam do drzwi.

- Nie. Nie może pani.

- Zacznijmy od nowa. Bardzo mi przyjemnie...

- Bardzo mi przyjemnie? - powtórzył za mną.

- Nie jest pan Anglikiem?

- Oczywiście, że nie.

- Ma pan dobry akcent.

- Tak? Dziękuję.

- Gdzie doskonalił pan swoją przedtem, jak rozumiem, trochę gorszą wymowę?

- W Londynie.

- Co pan tam robił?

- Studiowałem.

- Co?

- Sztukę.

- Aha. Gdzie?

- W Saint Martin.

- Doprawdy? Jestem pod wrażeniem. No dobrze. Pokochał pan malarstwo Elizabeth i postanowił przyjechać, żeby złożyć hołd samej artystce?

- Tak i nie.

- Nie? Zajmijmy się najpierw tym „nie”.

- Czy zawsze pani tak postępuje? Zajmuje się najpierw „nie”?

- Owszem. Oszczędność czasu.

- Nigdy nie słyszałem o Elizabeth. Byłem na wakacyjnej pieszej wycieczce, trafiłem do tej doliny i zobaczyłem ją. Stała w rzece w takich nieprzemakalnych butach do pasa... - przerwał na moment.

- Rzeczywiście podziwiam jej prace. Choć bez przesady.

No dobrze, mamy coś na początek.

- A jeżeli chodzi o „tak”?

- Uwielbiam Elizabeth.

Powiedział to tak nagle, tak ciepło, że przez moment emocje wzięły górę, łagodząc nieco ton rozmowy.

- Uwielbia ją pan?

- Tak.

Powoli rozciągnął usta w zmysłowym uśmiechu.

- Proszę przypomnieć jak się pani nazywa?

- Ruth.

- A więc, Ruth, myślę, że teraz powinna pani odwrócić się i odejść stąd.

- Dlaczego?

- Dlatego że jest w pani coś... umiem to rozpoznać.

- Co?

- Och, nie wiem. Coś niepokojącego. Nic szczególnie poważnego. Nie podoba mi się pani styl. Pani sposób mówienia.

- Ach tak, więc Elizabeth mówiła o mnie. O moim stylu.

- Elizabeth nigdy nie wspomniała. Po prostu umiem to wyczuć.

- Jakim zmysłem?

- Słucham?

- Jaki to zmysł? Wzrok? Węch? Dotyk?

- Ty, Ruth, nigdy się nie zmieniasz, prawda?

Jej głos zdawał się wybijać mi rytm na plecach. Odwróciłam się i spojrzałam na nią. Na twarzy zastygł mi grymas. Nie umiałam się go pozbyć.

Och, Elizabeth, ja się zmieniam. Ciągłe się zmieniam. Niekiedy, Elizabeth, niekiedy jestem tobą. Ale tracę kontakt. Muszę znowu ci się przyjrzeć.

Przyjrzałam się. Ona prawie się nie zmieniła. Nadal szczupła, wysoka. Kremowy sweter, pod spodem biała bluzka. Dżinsy.

Ciężkie wellingtony zamiast pantofelków. Mimo widocznych oznak czasu to była nadal ona.

- No cóż, Danielu. Robiłeś, co mogłeś... ale Ruth jest... Czekałam, aż powie, czym jestem.

- Spodziewałam się ciebie, w pewnym sensie. Myślę, że musisz to robić.

- Myślę, że tak.

- No cóż. Wejdz. Nasyć swoje oczy.

- Elizabeth! To prawie jakbym słyszała siebie. Jakbyś mnie przedrzeźniała.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

Weszłam do środka. Długi, niski, pomalowany na biało pokój.

Duży kamienny kominek. W nim, oczywiście, drewniane kłody.

Z boku ciężki drewniany stół, wokół kilka szarych foteli pokrytych

wzorzystymi narzutami. Wszystko tak, jak można się było spodziewać. Wzdłuż jednej ze ścian biegła jakby weranda z wysokim oszklonym dachem, ścianami z kamienia i masywnymi drzwiami. Doszłam do wniosku, że to pracownia. Pracownia Elizabeth. Syciłam oczy.

- Napiłabym się wina. Elizabeth westchnęła.

- Może być czerwone?

Chłopak... jak miał na imię? Daniel... tak. Daniel wziął z kredensu butelkę i nalał wszystkim po szklaneczce burgunda. Przynajmniej pije alkohol.

Przestań, Ruth. Usunęłam sprzed oczu postać Williama jako młodego człowieka, którym nigdy nie był.

- Elizabeth, nigdy o mnie nie wspominałaś?

- Nie.

- Czy on coś wie?

- Nie, nic nie wie.

- Jakie to dziwne. Ale w końcu wszystko jest dziwne.

- To prawda. Danielu, bądź ostrożny. Ruth ciebie... pochłania.

Czyżby Elizabeth przestała być taka niewinna? Może ci dobrzy muszą się nieustannie chronić. Przed nadmiarem własnej niewinności.

Uśmiechnął się.

- No cóż, po co pani przyjechała?

- Zobaczyć Elizabeth. Nic więcej.

- Łączą mnie z Ruth duchy przeszłości - wyjaśniła Elizabeth - i wiedza, której nikt oprócz nas nie może pojąć. Ja sama nie rozumiem tego do końca. Nawet po tym, jak...

- To bardzo mocna więź, Danielu. Mam nadzieję, że nigdy pan tego nie zrozumie.

- Nie można ich pokonać? Duchów?



- Och nie. To one pokonały nas. Jesteśmy jak ranni żołnierze. Na opuszczonym przez nie polu bitwy.

- Opuszczonym? Czy odeszły dobrowolnie?

- Nigdy się nie dowiemy. Ostatnie chwile. Co się dzieje w umyśle człowieka w ostatnich chwilach? Nie ma pan więcej pytań? -

Odwróciłam się do Daniela.

- Nie.

- Czemu pan taki małomówny?

- A czemu nie? Kwestia przyzwyczajenia.

- Taki pan młody, a taki... opanowany.

- To nie jest opanowanie.

- A co?

- *Miłość.*

Spojrzałam na Elizabeth. Siedziała w dużym fotelu koło okna.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła mówić cicho.

- Ruth, wiesz o tym, że walka z tobą nie ma sensu. Rozumiesz chyba, że właśnie dlatego postanowiłam cię pokochać?

- Nie rozumiem. Postanowiłaś?

- To nie było łatwe. Mówiłam ci już. Myślę, że dość wcześnie zorientowałam się, że walka z tobą może okazać się niebezpieczna. Że może cię jeszcze bardziej rozwścieczyć.

- Rozwścieczyć mnie?

- Tak. Było w tobie mnóstwo ukrytej złości. Na mnie.

- Nigdy mi nic nie mówiłaś.

- A co miałam powiedzieć? Żyłam w nadziei, że jeśli będę milczeć i postępować z tobą ostrożnie, to z czasem... Próbowałam oderwać się od ciebie. Ale ty byłaś zawsze... gdzieś na skraju... w tle.

- Nie wiedziałam, że to zauważyłaś.

- Myliłaś się. Wydawało mi się, że to jest bez znaczenia. Potem... z Hubertem. No cóż, prawie udało się nam urządzić sobie życie

we Francji. Życie, którym nie było mi dane się nacieszyć.  
Czasem przeżywam je, wiesz... w snach. Żyję drugim życiem.  
We śnie. Tak jak śnię o chłopcach. Ciągle jeszcze.

- Tak. Ja też znam świat snów.

Spojrzałam na Daniela. Siedział na wprost Elizabeth, był taki spokojny.

- Elizabeth, nie spytałaś o Charlesa.

- Kto to jest Charles? - spytał Daniel, zwracając się do Elizabeth.

- Mój mąż.

- Och.

- Jest teraz z Ruth.

- Czy to... ten człowiek? Ten, który przyjeżdża? Zasłoniła usta dłonią, jakby to ona miała zadać to bolesne pytanie.

- Charles tu przyjeżdża? Przyjeżdża tu? Muszę wiedzieć.

- Musisz, Ruth? To cała ty... to „muszę”. I ta twoja pewność, że ja ci odpowiem. Dlaczego miałabym ci odpowiedzieć?
- Bo ty... ty jesteś Elizabeth.
- Tak. A ty zawsze oczekujesz po mnie określonego zachowania. Bawiłam się myślą... że mogę być tak jak ty. Ale muszę być sobą. Raz jeszcze uzmysłowiłam sobie jej siłę. Dzięki której pozostaje na zawsze w ludzkiej pamięci. A jej utrata jest aż tak bolesna.
- Charles odwiedza mnie raz do roku. To osobista sprawa. Daniel wstał i podszedł do Elizabeth.
- Nie wiedziałem, że jest twoim mężem.
- Spotkaliście się? - spojrzałam na niego z niedowierzaniem.
- Nie. Widziałem go raz. Przez okno. Wróciłem... za wcześnie. Umówiliśmy się z Elizabeth, że zostawię ich samych. Nie wiedziałem, kim on jest.
- Co zobaczyłeś? Zapadła krótka cisza.
- Mężczyznę, który klęczał przed kobietą. Jak kiedyś klęczał przed nią mój ojciec.
- Gładziła go po włosach. Przytuliła. I tak trwali jakieś... och, może pół godziny. Potem odszedł.
- Oczywiście, wiedziałam. Choć wolałam nie wiedzieć. Ta... przeszłość... nie była tak trudna do odgadnięcia.
- Charles rozmawiał o mnie? Z tobą?
- Właściwie nie. Ale ja wiem. Wiem... wiem, co czuje... w głębi.
- Skąd możesz wiedzieć?
- Wiem.
- Dlaczego od niego odeszłaś? Cisza.
- Dlaczego zostawiłaś go mnie? Cisza.
- Bo on, Ruth... jest twój. Mój czas minął.
- Co masz na myśli?
- Huberta. Hubert był wiemy. Mnie i swoim obietnicom. Charles próbował. Ale on... jemu się nie udało. Może jestem za surowa.

- A Daniel?

- Nie składaliśmy sobie żadnych przyrzeczeń.

- Ja mógłbym. I dotrzymałbym słowa. Gdybyś mi pozwoliła.

- Ale ci nie pozwolę, Danielu.

Spojrzał na mnie, jakby chciał odczytać moje myśli.

- Ty myślisz tylko o ciałach, prawda, Ruth? Ja jestem młody, Elizabeth nie. Ciała młodych dziewczyn. Dlaczego nie jestem z nimi? Ciała. Ty myślisz tylko o ciałach.

- Nie jestem taka prymitywna, jak chyba sobie wyobrażasz.

- Może nie. A więc pozwól, że ci opowiem o ciałach. Z własnego doświadczenia. Mieszkałem w Kalifornii. Pierwszy raz oszalałem na punkcie dziewczyny, kiedy miałem piętnaście lat. Była piękna. Wysoka z długimi blond włosami. Miała ciekawą talię, zwężającą się w kształcie kielicha. Wąskie biodra, jędrną skórę brzucha i jasnokremowe włosy na łonie. Malowałem ją, patrząc, jak mawiali moi nauczyciele, „łaskawym okiem”. Myślę, że była moim pierwszym modelem. Codziennie wielbiłem jej ciało i wiedziałem, że tak będzie zawsze. Ale potem pojawiła się Oona. Oona miała krótkie, gęste, czarne włosy. Niewysoka, o nieproporcjonalnie dużych piersiach. Nie mogłem przestać o nich myśleć. Dopóki nie spotkałem Catherine.

Rozczesał palcami włosy. Uśmiechnął się do nas. Był... młody.

- Catherine uprawiała sport. Pół-Francuzka. Piwne oczy, czarne włosy, a jej ciało, no, po prostu doskonała maszyna. To znaczy wszystko w nim pasowało do siebie. Nic nie nawalało. Ciągłe się śmiała - tylko tyle z niej zapamiętałem. Ale ciało, ciało pamiętam doskonale. Odkąd skończyłem piętnaście lat, miałem ciała... ciała dziewcząt. Ciała były tym, co znałem. Cieleśny, fizyczny seks.

Nagły przypływ szalonej rozkoszy.

- A potem?

- Potem człowiek staje się chciwy.

- Czego?

- Czegoś więcej. Na tym etapie ciała przestają wystarczać. Zaczyna kusić cię gra. Gra o władzę. Odrzucenie. Udawana zazdrość. W końcu nawet nastolatki potrzebują środków podniecających.

Byłam już zmęczona. Dręczyła mnie wizja klęczącego przed nią Charlesa. .

- Wszystko jedno, co Daniel mówi, kiedyś i tak odejdzie.

- Czy tego pragniesz, Ruth? Żebym poniosła kolejną stratę? Co cię zadowoli? Może moja śmierć?

Może.

- Ruth, jesteś jak dziecko. Jeśli czegoś nie możesz mieć, musisz to zniszczyć. Ten twój pęd do destrukcji zniszczył wszystko, co miałaś i co masz. Zniszczysz swój związek z Charlesem. Ze złości, że jeszcze mnie trochę potrzebuje. I tego chcesz.

Spojrzała na mnie z miłością i współczuciem. Jej zawzięta, uparta dobroć świeciła pełnym płaskiem.

Cała nienawiść, jaką do niej czułam, znów napłynęła wzmożoną falą. Chciałam użądlić ją, zatruć własnymi łzami. Znowu.

Patrzeć, jak płacze po stracie Huberta. Znowu. Zobaczyć jej smutek, jak wtedy kiedy porzuciła Charlesa. Znowu. Pozwolić, by moja nienawiść rozdarła ją na strzępy za ten ból, który nigdy mnie nie opuści -odkąd jej dziecko utopiło moje.

Gdybym mogła cię zabić, Elizabeth, zabiłabym. Tak. Gdybym tylko wiedziała jak. Gdybym mogła cię zadusić, zadusiłabym.

Gdybym mogła zatopić w tobie nóż, zrobiłabym to. Gdybym mogła cię zastrzelić, strzeliłabym ci prosto w oczy. I

spojrzałabym na ciebie, i byłabym wolna. Wreszcie wolna.

Coś strasznego zaczęło dziać się z moim ciałem. Dźwięki rozlegające się w głowie, jak wrzaski w najwyższych rejestrach, umemożliwiały mi usłyszenie jej słów. Czerwona mgła

przesłoniła przerażoną twarz Daniela, która zdawała się unosić gdzieś przed moją twarzą. Coś wypełniło mi usta... jad... coś

jadowitego... z krzykiem zapadłam się w głąb siebie. W

poszukiwaniu ostatniego wyjścia. Jakaś obca siła wstrząsnęła

moim ciałem. Moje kości stawały się płynne. Elizabeth i Daniel

starali się zebrać tę ciecz rozlewającą się po podłodze. Byłam

rozdzierana na sztuki. Poroniłam samą siebie. Czerwień

zamieniła się w czern. Stephen i William znowu tonęli. Już drugi

raz. Och, co za okrucieństwo. Muszą się znów dławić wodą. Och,

chłopcy! Obaj. Krzyczeli: „Nie, nigdy więcej”. Oni chyba toną w

moim rozpływającym się ciele? Czy ktoś mógłby zgarnąć to

razem? Jakie naczynie może mnie pomieścić? Utrzymać w całości? Słowa, kolejne słowa napływały, zagłuszając wrzask w mojej głowie. Nie mogę, nie chcę ich wymówić. „Nie jestem winna.” Tylko to umiałam powiedzieć.

Inne, inne słowa przebijały się na powierzchnię. Powstrzymaj je, Ruth. Zdjęta zgrozą wyplułam truciznę prosto w jej twarz.

Podniosłam do ciosu rękę, już teraz spoistą. Potrzebowałam narzędzia. Schwyciłam leżący na stole nóż. Spojrzałam jej w oczy... pełne bólu.

Pełne miłości. Pełne dobroci. I oczywiście zwróciłam ostrze przeciw sobie. Nareszcie.

Nagle za moimi plecami wyrósł Daniel. Wyrwał nóż. Objął mocnym chwytem ramion. Tracąc równowagę, upadliśmy i potoczyliśmy się po podłodze, zvarci w nieprzyzwoitym uścisku. W końcu unieruchomił mnie, przygniatając własnym ciałem.

Uspokoiliłam się wreszcie.

On - ten chłopak - powstrzymywał mój obłęd. Przywarł do mnie gorącym brzuchem. Jego długie nogi oplatały moje. Przyciskał łokciami moje ręce rozłożone w geście poddania. Gładził mnie po twarzy, szepcząc:

- Okay, okay. Wszystko w porządku. Już wszystko w porządku.

Parę słów. Prostych słów. Czy były to słowa rozgrzeszenia?

„Okay, okay. Wszystko w porządku.”

Niemal uśmiechnął się do mnie. Jej chłopak. Jej synek. Potem stopniowo mnie uwalniał. Nogi. Ręce. Dłonie ześliznęły się z mojej twarzy. W końcu przestał przygniatać mi piersi i brzuch. Pewny, że bestia została poskromiona. Moja odzież przesiąkła wymiotami. Moczem. Spojrzałam na Daniela i Elizabeth. Nie dostrzegłam obrzydzenia w ich twarzach.

Zaprowadzili mnie do łazienki. Oboje pomogli mi wejść do wanny. Nagość nie krępowała ani ich, ani mnie. Wdrapałam się na ich łóżko. Położyli się po obu stronach i czekali, aż zasnę. Obudziłam się późnym przedpołudniem. Mały przenośny zegar pokazywał pół do dwunastej. Drzwi otworzyły się i weszła Elizabeth, niosąc herbatę, tosty i miód. Siedziała w milczeniu, kiedy jadłam. W milczeniu pełnym miłości. Którą czułam. I której nie odrzuciłam. Dała mi swoje ubranie. Och, co za ironia. Moje rzeczy zapakowała do małej torby. Włożyłam jej dżinsy, podwijając nogawki i gruby sweter sięgający mi niemal do kolan. Ubrana w rzeczy Elizabeth, przez Elizabeth. Potem wyobraziłam sobie, jak opuszczam ich na zawsze. Wiedzieliśmy wszyscy, że mogę, że jestem gotowa to zrobić. Zobaczyłam w lusterku samochodu, jak odwracają się i idą w stronę domu. Wysoki młody człowiek i wysoka, smukła kobieta. Patrząc z tyłu, trudno było odgadnąć jej wiek. I wiedziałam, że ocalili mi życie.



Nigdy nie opowiedziałam Charlesowi o tej wizycie. Nigdy. Choć czasem patrzył na mnie mówiąc: „Zmieniłaś się, Ruth. Wyglądasz trochę bardziej na pogodzoną ze sobą”. Istotnie tak było. Trochę.

Wkrótce potem Elizabeth odprawiła chłopaka.

Skąd wiem?

Pojawił się w Lexington. Milczący. Blady. Nie, biały jak ściana. Otworzyłam drzwi. Kręcił tylko głową. Powoli. Raz po raz. Jego ból doprowadzał mnie do wściekłości. Ciągle byłam nie taka, jak powinnam. Lata knowań nie minęły bezpowrotnie. Nie pomogłam mu. Czułam się, powiedzmy, niegodna.

To kłamstwo.

Bałam się, że Charles go zobaczy. Wstydz się, Ruth! Twarz mi się wykrzywiła. Poczułam, jak mięśnie ściągają się w grymasie nakazującym mu iść precz.

Wtłoczyć z powrotem jego ból. Zniszczyć Daniela. Przyjął cios. Pochylił głowę. Potem odszedł.

- Kto to był? - zawołał Charles. Zanim doszedł do drzwi, chłopiec zniknął.

- Nikt - odpowiedziałam. Nigdy więcej o nim nie słyszałam.

To wszystko to wydarzyło się parę lat temu. Nieważne ile.

Elizabeth nie żyje.

Umarła na raka. Zadzwoił do mnie lekarz ze Szkocji. Musiała wymienić mnie jako najbliższą krewną.

- Pani Garton?

- Tak.

- Jestem doktor Mckintosh.

- Słucham pana.

- Obawiam się, że mam... przykrą wiadomość... o Elizabeth Ashbridge.

- Nie żyje?

- Tak. Bardzo mi przykro.

- Powód.

- Rak. To poszło bardzo szybko. Rak piersi. Zaczęło się od lewej piersi. Obawiam się, że przyszła za późno. Była niezwykłą kobietą.

- Tak, wiem.

- Kiedy poinformowałem ją, że ma raka, powiedziała: „Jakie to dziwne, że nie pojawił się w sercu”. Nigdy tego nie zapomnę.

Jakie to dziwne, że nie pojawił się w sercu.” Powiedziała, że to ze smutku.

- Może miała rację.

- Pani jest chyba jej najbliższą krewną. Była pani siostrą?
- W pewnym sensie.
- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Czy pani?...
- Tak. Proszę mi podać swój adres. I adres szpitala. My... ee... Charles i ja zajmiemy się wszystkim. Przyjedziemy do pana wieczorem.
- Czekam na państwa. Mam pewne... instrukcje... które pani Ash-bridge chciała pani przekazać. To znaczy, na wypadek śmierci. Dotyczą, jak sądzę, pogrzebu. Nie pokazała mi tego listu, pani rozumie.
- Rozumiem. Oczywiście zrobimy tak, jak chciała Elizabeth.
- Tak. Naturalnie.
- Muszę porozmawiać z moją matką. Jej matką. Dziękuję panu bardzo. Dziękuję.  
Odłożyłam słuchawkę.  
Towarzyszka... towarzyszka mojego życia... odeszła. Umarła w nocy. Leżałam wtedy obok Charlesa. Nie czuliśmy nic. Po prostu spaliśmy, kiedy umierała. Czy będę spała w godzinie śmierci Charlesa? Czy on będzie spał, kiedy ja będę umierać? I potem? Spałam po śmierci chłopców.  
Charles był w ogrodzie. Podeszłam i stanęłam za nim. Przez chwilę milczałam, a potem mu powiedziałam. Odwrócił do mnie twarz. W jego oczach nie było łez. Nie było niczego.
- Ona odeszła ode mnie dawno temu, Ruth. Wtedy właśnie dowiedziałem się, jak... gorzkie może być życie.
- Powinniśmy tam pojechać. Razem. Sprowadzić ją do domu.
- Tak.
- Komu jeszcze... musimy powiedzieć?
- Matce. I rodzinie Baathusów.
- Tak. Oczywiście.

Czy ją pamiętają? Żonę ich syna? Która przeżyła męża. Aż do dzisiaj.

- Dobrze. Zadzwoń do nich.

- A więc jedźmy. Jedźmy razem. Pojechaliśmy.

Nie przywieźliśmy jej do domu. Pochowaliśmy Elizabeth na miejscowym cmentarzu. Tak, jak chciała. List do nas był krótki. Zaledwie dwie linijki:

*Nie obok chłopców. Wiem, że zrozumiecie. Tu. Prosty krzyż z moim nazwiskiem. Nic więcej.*

Wypełniliśmy jej wolę. Prawie. Kazaliśmy wyryć słowa ELIZABETH ASHBRIDGE, MALARKA na kamieniu nagrobnym. Na krzyżu z białego marmuru.

Odczytano krótki testament. Zostawiła mi wszystko. W gazetach pojawiło się kilka nekrologów. Krótkich, dość lakonicznych.

Nikt jej nie znał.

Charles i ja pędzimy teraz spokojne życie. Obchodzimy rocznice śmierci zamiast, jak dawniej, urodzin.

Czy byłabym dobra, gdyby jej nie było w moim życiu? Bo ostatecznie tylko to się liczy.

Jesteśmy tu po to, żeby dołożyć własną cegiełkę do sumy ludzkiego dobra. Aby dowieść, że ono istnieje. Jakkolwiek daremny okaże się pojedynczy akt odwagi, wspaniałomyślności, poświęcenia czy łaski -i tak świadczy o istnieniu dobra. Takie akty sumują się wszystkie razem. I wymagają uzupełniania. Nie tylko dlatego, że zło kwitnie i choć nie do obrony, znajduje obrońców. Dlatego że dobro przestało być uznawane za cel życia. Zostało wygnane przez bestię piekielną, zawiść.

Charles i ja, kiedyś złączeni potężnymi więzami grzechu, podróżujemy teraz ku sobie przez morze smutku. Przed oczami przesuwają się nam twarze chłopców, które pojawiają się i zapadają, raz za razem, w podwodny grób.

W naszej podróży ku sobie nieustannie pojawia się twarz Elizabeth. Przesuwa się przed naszymi oczami i znika.

Gdyby nie znalazła się w moim życiu? Co wtedy? Czy ona mnie stworzyła? Czy ja stworzyłam ją? Czy ją wyśniłam? Czy ja jestem Elizabeth? Teraz?

Zadaję sobie od dawna te pytania. Czy znacie na nie odpowiedź? Proszę. Proszę, odpowiedzcie mi.

Odpowiedzcie, teraz, kiedy od was odchodzę.

Kiedy od was odchodzę.

Kiedy odchodzę.